

Leon Alexandrowicz

W S P O M N I E N I A

W I L N I A N I N A

Warszawa 1993 r.



*L Alexander*

Wspomnienia niniejsze pisałem w sierpniu i wrześniu 1992 roku w 48 rocznicę Powstania Warszawskiego, w którym walczył w ramach batalionu "Łukasiński" w 2 kompanii "Supraśl" mój brat stryjeczny Jerzy Alexandrowicz ps. "Witold", syn pułkownika dyplomowanego Kazimierza i Zofii z Koczwarских. W walkach tych został ciężko ranny i poległ na Starym Mieście.

Wspomnienia te pisałem przeważnie nocami i te nieprzespane noce i mój wysiłek poświęcam pamięci ś.p. Jerzego Alexandrowicza i Jego matki Zofii, która brała udział we wszystkich ekshumacjach zwłok powstańców warszawskich i nie rozpoznając w nich swego jedyne go syna, do końca swego życia żyła nadzieją, że może On jednak nie zginął.

"W słowach tylko chęć widzimy,  
w działaniu potęgę.  
Trudniej dzień dobrze przeżyć,  
niż napisać księgę."

Adam Mickiewicz

"Słowo i czyn"

### Lata dziecięce

Urodziłem się w Wilnie w rodzinie inteligenckiej. Mój ojciec Antoni, jako oficer sztabowy, służył w tym czasie w 19-tym Pułku Artylerii Lekkiej /PAL/ w Nowej Wilejce.

Moja matka Maria, z domu Junit, zajmowała się gospodarstwem domowym w 6-cio osobowej rodzinie, wychowując dwoje pasierbów oraz dwóch rodzonych synów : mojego starszego brata Antoniego Rajmunda i mnie Leona Romualda. Pasierbami /oboje starsi od nas/ byli : starsza córka ojca Germaine i jej młodszy brat Henryk z pierwszego małżeństwa z Japonką mego ojca, który po jej śmierci, jako wdowiec, poślubił moją matkę w Mandżurii w latach I-ej wojny światowej.

Zaczęło się od tego, że starsza siostra mojej matki Elżbieta z domu Junit wyszła za mąż za sławnego bogatego geologa i archeologa inż. Kazimierza Grochowskiego, który w międzyczasie był właścicielem koncesji w prowincji mongolskiej Chułunbair położonej na południe od linii kolejowej między stacjami Mandżuria-Hajłar-Chingan /zał. 1/. Koncesja ta o powierzchni 40 tys. km<sup>2</sup> posiadała złoto, miedź, rudę srebro-ołowianą, sól, sodę, asfalt oraz węgiel. Gdy rodzice cioci Elżbiety zmarli, dwie jej młodsze siostry : Maria /moja matka/ i Zofia /moja ciotka/ znalazły się bez żadnej opieki, wobec czego Elżbieta Grochowska sciągnęła je do siebie do Mandżurii i tam zaczęły się kształcić w Harbinie w polskich szkołach. Starsza z nich Maria

/moja matka/ wyszła za mąż za młodego wdowca Antoniego Alexandrowicza /mego ojca/, który wówczas ukończył Instytut Języków Dalekiego Wschodu, młodsza zaś Zofia za innego Polaka - Wacława Budrewicza.

Początkowo mieszkaliśmy w Wilnie przy ulicy Syberyjskiej na Markuciach i z tego okresu t.j. do około 1931 roku zapamiętałem już kilka szczegółów z moich lat dziecięcych z miejsca zamieszkania i najbliższych okolic oraz przygód utrwalonych w pamięci z tamtych lat. Według tego, co zapamiętałem z tego okresu - dom nasz, typu drewnianego był z grubych belek, znajdował się w dużym ogrodzie z płotem drewnianym na terenie o bardzo dużym spadku t.j. takim na którym nie tylko zimą, ale nawet latem po zmoczonej deszczem trawie można było zjechać na sankach. Pamiętam, że ktoś z nas, czy też wszystkie dzieci przeszły szkarlatynę i że chyba Henryk dostał kiedyś awanturę za wyrzucenie siostry zimą przez okno w puszysty śnieg.

Ja zaś miałem inną niedobłą przygodę, a mianowicie chciałem koniecznie użyć jako konia naszego dosyć groźnego wilczura i zostałem przez niego pogryziony w górną część ramienia, których drobne ślady zostały chyba do dnia dzisiejszego. Nasz pies stale mieszkał w budzie zawiązywany łańcuchem, a wypuszczany luzem na noc, więc był psem groźnym, nic więc dziwnego, że nie potrafiłem z niego zrobić ujeżdżonego kucyka. Kto z nas /czy ja czy pies/ większą dostał karę za tę niemiłą przygodę, tego nie pamiętam.

Pamiętam, że za jakieś wykroczenia moi starsi bracia byli karani przez ojca biciem szelkami, czy paskiem, po tyłkach ze zdjętymi spodniami, na mnie natomiast w tym okresie czasu takich kar nie stosowano.

Z innych dla mnie zaczarowanych obrazów zapamiętałem następujący, a mianowicie : mieszkaliśmy blisko torów kolejowych przebiegających od Dworca Kolejowego w kierunku Kolonii Wileńskiej i Nowej Wilejki na bardzo wysokim nasypie kolejowym, gdzie mój brat Antoś prowadził mnie żeby pokazać inny nowy świat. Rzeczywiście po przejściu długiego.

jak dla kilkuletniego jeszcze chłopca, okrągłego przepustu kolejowego pokazywał się rzeczywiście inny świat /drzewa, krzewy, domy i cały porządek wydawał się zupełnie inny i ładniejszy/ od tego, gdzie mieszkaliśmy t.j. przed wejściem do okrągłego przepustu kolejowego. /Jak z planu miasta Wilna z 1936 r., którego reprint można nabyć w polskich księgarniach, wynika, po przejściu przepustu wychodziło się do ulicy Żelazna Chatka, która dochodziła do cmentarza Rossa. Być może na ulicy tej stały domy z ogrodami utrzymywane we wzorowym porządku i czystości/.

### Dalsze lata dziecięce i szkoły powszechnej

W roku 1931 lub na przełomie lat 1931/1932 przeprowadziliśmy się na ul. Kościuszki nr 21 na Antokolu do bloku spółdzielczego zawierającego 6 segmentów mieszkaniowych budynku urzędniczych bloków spółdzielczych w trójkącie ulic Kościuszki, Holenderni i Przejazdu /fot.1/. Nasz blok był przy głównej ulicy t.j. Kościuszki /fot.2,3,4/, a pozostałe bloki przy <sup>dpe</sup>porządkowanej ulicy Holenderni /fot.5,6,7/ i nie w pełni urządzonej ulicy Przejazd /fot.8/. Najmniejszy blok stanowił tylko 2 segmenty i stał w przybliżeniu prostopadle do ulic Holenderni i Przejazdu /fot.1/, gdzie w jednym z nich mieszkał inż. Krukowski z żoną dr dentystką i dwoma synami, z których młodszy Tadeusz był moim kolegą szkolnym. Każdy z segmentów miał główne wejście od ulicy, a kuchenne od ogródków, drózek i placu przeznaczonego do zabawy i do gry w siatkówkę. Był to bardzo dobry projekt architektoniczny, gdyż wszystkie dzieci posłuszne rodzicom mogły się bawić razem, nie wychodząc na jezdnie ulic lub przyglądać się starszym grającym prawie codziennie w siatkówkę i podawać im piłkę, która spadała zbyt daleko od boiska. Najgorzej zaś było wtedy, gdy piłka spadała do któregoś ogródka np. na truskawki, gdzie właścicielka z odpowiednim oburzeniem wyzywała winowajców. Z graczy t.j. starszych

od nas o około 10 lat chłopaków zapamiętałem Edwarda Gucewicza najniższego wzrostem. Jego wzrost uniemożliwiał mu ścinanie, ale tak dobrze grał przy obronie, kiwaniu i wystawianiu piłki do ścinania, że każda drużyna chętnie go brała do gry. Dokuczała mu natomiast codziennie jego matka wołając głośno "Edzia, Edzia, włóż kurteczka", troszcząc się by po grze /a może nawet jej zdaniem w czasie gry/ nie przeziębził się po spoceniu się.

Każdy segment posiadał powierzchnię mieszkawką około 213 m<sup>2</sup>, lecz nie przekraczającą 220 m<sup>2</sup>, co szczęśliwie uniemożliwiło ich znacjonalizowanie przez władze Litewskiej Republiki Radzieckiej, które budynki do powierzchni mieszkalnej 220 m<sup>2</sup> nie nacjonalizowało, a wszystkie budynki tej spółdzielni miały i mają do dzisiaj bardzo szczegółową i starannie sporządzoną dokumentację techniczną /zał. 2, plan w jęz. lit. z 18 X 1963 r/.

W naszym segmencie z adresem ul. Kościuszki nr 21 /17/ mogły być teoretycznie 3 mieszkania, a mianowicie :

mieszkanie nr 1 półsuterena zawierająca : 1 pokój o pow. 21,71 m<sup>2</sup>, 1 pokój o pow. 17,75 m<sup>2</sup>, kuchnię o pow. 11,27 m<sup>2</sup>, ubikację, korytarz, składziki o ogólnej powierzchni 59,85 m<sup>2</sup>;

mieszkanie nr 2 parter zawierający : 1 pokój o pow. 21,89 m<sup>2</sup>, 1 pokój o pow. 11,02 m<sup>2</sup>, kuchnię o pow. 9,09 m<sup>2</sup>, ubikację, korytarz, spiżarnię, pokój w półsuterenie o pow. 10,39 m<sup>2</sup>, korytarz, składziki o ogólnej pow. 103,00 m<sup>2</sup>;

mieszkanie nr 3 I piętro zawierające : 1 pokój o pow. 18,79 m<sup>2</sup>, 1 pokój o pow. 14,87 m<sup>2</sup>, łazienkę o pow. 7,57 m<sup>2</sup>, korytarze o ogólnej pow. 50,08 m<sup>2</sup>.

W ramach akcji porządkowej numeracji domów władze Litewskiej Republiki Radzieckiej, reprezentowane przez Prezydenta Miasta, zmieniły numerację budynków przy ul. Kościuszki i nasz dom uzyskał nr 17 zamiast 21.

Jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego 1932/1933 zimą lat 1931/1932

1932 prawdopodobnie zjeżdżaliśmy na sąsiadującej obok ulicy Przejazd ze sporej powierzchni górki, ale najlepiej lubiliśmy jeździć "pociągiem" złożonym z szeregu sanek samą /właściwie zamkniętą wówczas dla ruchu/ ulicą Przejazd z ostrzeżeniem rodziców, by zahamować przed ulicą Kościuszki o sporym ruchu pojazdów konnych i motorowych.

We wrześniu 1932 roku rodzice zaprowadzili mnie pieszo pod górę ul. Holendernią i Krzywe Koło do zaułka Ponomarskiego do przedszkola znajdującego się przy Prywatnej Szkole Powszechnej Polako-Francuskiej im. Elizy Orzeszkowej na tym zaułku. Na drugi dzień dyrektorka szkoły madame Szepowalnikowa /nazwiska francuskiego z domu nie pamiętam/ powiedziała moim rodzicom, że w przedszkolu ja się zanudzam i zaproponowała, żebym rozpoczął naukę w I klasie jej szkoły, na co rodzice się zgodzili i skończyły się dla mnie beztrudne lata dziecięce, a zaczęły się obowiązki związane z nauką, a nie tylko dotychczasowe zabawy i przyjemności.

Same chodzenie do szkoły przeżywałem, bo musiałem przechodzić obok dużego cmentarza żydowskiego, chyba drugiego co do wielkości w Polsce po cmentarzu przy ul. Okopowej w Warszawie. Od czasu do czasu zdarzało się patrzeć na pogrzeb żydowski. W Wilnie i obwodzie wileńskim mieszkało wówczas około 108 tysięcy Żydów, Polaków mieszkało 322 tysiące, Białorusinów 75 tysięcy, Litwinów 34 tysiące, Rosjan 10 tysięcy, Niemców 1 tysiąc oraz innych 2 tysiące. Dane te opublikował emigracyjny autor litewski Leonas Sabaliunas, zaznaczając, że oparł się na źródłach polskich /str. 56 książki Piotra Łossowskiego "Litwa a sprawy polskie 1939-1940", PWN, 1985/. Ale na szczęście mieliśmy łagodnego wilczura, który zawsze luzem /bez smyczy/ odprowadzał mnie do szkoły i przestałem się wówczas bać, że w okresie świąt żydowskich wezmą mnie do beczki z gwoździami na macę, by wypijać uzyskaną ze mnie krew dolewana do tej macy. Lekcje kończyły się o różnych godzinach, ale skąd nasz wilczur wiedział, kiedy przyjść po mnie, by mnie odprowadzić do domu ?



Być może nie oddalał się on zbyt daleko od bardzo dużego ogrodu szkolnego po którym, a może i na zewnątrz biegał w czasie lekcji /fot.9/.

Już na pierwszej lekcji miałem problem z pisownią mego nazwiska, gdy nauczycielka poprawiła w moim zeszycie literę "x" na "ks", ale na drugi dzień po wyjaśnieniu rodziców problem ten przestał istnieć. Właściwie lekcje mieliśmy po polsku, zaletą były klasy z liczbą uczniów około 10, tylko dyrektorka szkoły żądała by do niej zwracać się wyłącznie po francusku.

Ze szkoły tej zachowały się u mnie niektóre fotografie, które dołączam do niniejszego /fot.10,11,12/.

Pamiętam, że na pierwszą gwiazdkę, gdy byłem uczniem, dostałem pod choinkę zrobione osobiście przez Henryka narty, które zaraz zacząłem używać /fot.13/.

Lekcje w szkole zaczynały się od modlitwy i zapamiętałem krótką nieprzyjemną powstałą raz sytuację, gdy któraś z naszych koleżanek /szkoła była koedukacyjna/ nie wytrzymała fizjologicznie i zalała wokół siebie kawałek lśniącej podłogi. Co do pewnych fizjologicznych kłopotów przypominam sobie, że moja matka narzekała na Germaine, że ona do późnych lat "zlewa się" w łóżku. Zmieszanie rasy białej z żółtą z pierwszego małżeństwa mojego ojca niewątpliwie wpłynęło na nietypowy psychicznie i psychologicznie charakter mego rodzeństwa przyrodniego, wobec czego zarówno ja, jak i rodzony mój brat Antoni Rajmund, nie możemy zrozumieć ich sposobu nie tylko postępowania, jak i myślenia i stan taki zachował się do dzisiaj.

Wracając jeszcze do szkoły powszechnej zapamiętałem, że nauczycielka muzyki /śpiewu/ była córką organisty /fot.14/ naszego kościoła parafialnego t.j. kościoła św. Piotra i Pawła, stojącego na wzgórzu, przy którym kończyła się ulica Kościuszki, a zaczynała ulica Antokolska /fot.15/, przy którym to kościele zbudowano po wojnie rondo i piękny nowoczesny most przez Wilję /fot.16/.

Z jednych z zabaw w czasie przerw między lekcjami lubiliśmy latem nie tylko się huśtać, ale i skakać z huśtawki na odległość. Pamiętam do dzisiaj, że jeden ze skoków mi się nie udał, że upadłem wówczas na głowę, o czym nie powiedziałem ani nauczycielom, ani rodzicom, a wynikiem tego może być fakt, że w ostatnim okresie mego życia chyba jestem stuknięty częściowo w głowę, skoro przystępuję do napisania tych wspomnień.

Jeszcze w ostatnim roku naszego zamieszkiwania na ulicy Syberyjskiej lub pierwszego roku zamieszkiwania na ulicy Kościuszki na zapytanie mnie kim chciałbym zostać odpowiadałem "Marszałkiem Piłsudskim". Zapamiętałem z tego okresu to, że były w sprzedaży kieszonkowe zegarki z wizerunkiem Marszałka i że ojciec był źle ustosunkowany do "piłsudczyków" w odróżnieniu od naszego stryja Kazimierza /młodszego brata ojca/, który walczył w Legionach Piłsudskiego i był m.in. kawalere~~m~~ Orderu Virtuti Militari, dowódcą Pułku Strzelców Podhalańskich w Nowym Sączu /czy Stryju/, a ostatnio w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych i często spotykał się z przyjaźnie do niego ustosunkowanym Rydzem Śmigłym /fot. 17/, gdy przeniósł się ostatecznie do Warszawy /fot. 18/.

Gdy stryj ten przyjeżdżał do nas, to ja zawsze się cieszyłem, bo kazał mi iść zaraz na strzyżenie włosów do fryzjera. Dawał mi na to dwuzłotówkę i nie żądał reszty. Fryzjer za strzyżenie brał 30 gr, a mnie zostawała ogromna suma, bo aż 1 zł 70 gr, gdy np. jedna porcja lodów z wożonych drewnianych budek kosztowała 5 gr, a 1 dkg siemek /pestek/ 1 gr.

Ujemne nastawienie mego ojca do piłsudczyków wynikało m.in. z tego, że nie uznano mu stopnia pułkownika artylerii wojsk carskich, a za walki w V Dywizji Syberyjskiej jako najwyższe odznaczenie dostał "tylko" Krzyż Walecznych. Służbę po I wojnie światowej w Wojskach Polskich ojciec rozpoczął dopiero od stopnia kapitana, potem awansował na majora /fot. 19/, aby ostatecznie uzyskać stopień

podpułkownika /fot.20/. Zachowało się tylko jedno zdjęcie całej naszej rodziny /fot.21/. Ta krzywda, jaka ojca spotkała w jego stopniu wojskowym, była m.in. powodem, że ojciec nie lubił swego brata Kazimierza oraz to, że ojciec nie pozwolił mi pójść na uroczystości pochowania serca marszałka Piłsudskiego na Rossie.

Z opowiadań mego rodzonego brata, który będąc już młodzieńcem, zaczął używać drugiego imienia Rajmunda /zamiast pierwszego Antoniego/ wynika, że w 1935 roku do 19-go Pułku Artylerii Lekkiej /PAL/ przybył w czasie manewrów Rydz-Śmigły. W tym momencie grupa dowodzona przez mego ojca, który był zastępcą dowódcy tego pułku, miała przewagę nad drugą grupą manewrową. Rydz-Śmigły zaproponował /co równocześnie było rozkazem/, że dalszy przebieg manewrów pokieruje on zamiast ojca, na co ojciec musiał się oczywiście zgodzić. W dalszej fazie manewrów grupa dowodzona przez Rydza-Śmigłego nie tylko przegrała na korzyść drugiej grupy, ale sam Rydz-Śmigły dostał się do "niewoli". W czasie przyjęcia z gronem wszystkich oficerów pułku, po odpowiedniej liczbie wypitych kieliszków, Rydz-Śmigły zwrócił się przy wszystkich obecnych oficerach do mego ojca z pytaniem, jakie ojciec widzi w nim wady i zalety. Na to ojciec odpowiedział, że o wadach nie będzie mówił, a jako zalety Rydza-Śmigłego uważa to, że lubi on pić wódkę i dobrze gra w brydża, co wywołało na sali u większości śmiech, a u niektórych konsternację.

Po dwóch miesiącach od tych manewrów ojciec w wieku 48 lat przeszedł na emeryturę, w związku z czym w prowadzeniu gospodarstwa nie przelewało się w naszej rodzinie i trzeba się było liczyć z odpowiednim wydawaniem pieniędzy. Ojciec będąc na emeryturze dużo pracował bezinteresownie społecznie m.in. w zjazdach V Dywizji Syberyjskiej /fot.22/ w kontaktach z Japończykami i z Mandżurią. W 1937 roku została wydana książka napisana przez mego ojca p.t. "Mandżuria, jej przeszłość, teraźniejszość, kraj i ludzie" ~~wydana~~ przez Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska.

Następnie ojciec przystąpił do pisania "Historii Chin", której już nie ukończył do 1939 roku.

Dla dużej liczby zainteresowanych bezrobotnych znalazł stosowną pracę.

Z całej naszej rodziny najlepiej powodziło się wujostwu Grochowskiemu, lecz gdy inż. K. Grochowskiemu Japończycy zaproponowali posadę dyrektora kopalni złota na Filipinach, wuj bardzo się ucieszył tym i szykując się na ten wyjazd zmarł na atak serca w 1937 roku, w wieku 64 lat. My byliśmy jeden raz z wyjątkiem Henryka w uzdrowisku Cieclocinek /fot. 23, 24, 25/.

Nauka moich starszych braci i siostry nie szła za dobrze i chyba z wyjątkiem Heńka, który chociaż na trójkach przechodził z klasy do klasy, to zarówno Germaine jak i Rajmund pewne klasy chyba powtarzali. Co do zachowania się, to Antoni Rajmund mnie często krzywdził, wobec czego zwracałem się do Heńka o pomoc, którą mi zawsze zapewniał, dlatego z rodzeństwa jego kochałem najwięcej. Henryk uczęszczał i ukończył Gimnazjum i Liceum im. Adama Mickiewicza, teczkę miał zawsze porwaną, bo niósł w niej sportową kulę do rzutów, gdyż był wysokiej klasy sportowcem nie tylko w narciarstwie i pływaniu, ale w szczególności w lekkoatletyce, gdzie jeszcze przed maturą zdobywał sukcesy, które kontynuował następnie w Szkole Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie /fot. 26, 27/. Germaine uczęszczała i ukończyła Gimnazjum i Liceum Nazaretanek i chciała iść do zakonu, lecz ojciec na to się nie zgodził, wobec czego wyjechała do Poznania, aby rozpocząć studia na Uniwersytecie Poznańskim /fot. 28/. Rajmund skończył tylko Gimnazjum, otrzymując małą maturę i rozpoczynając naukę w Liceum Handlowym, którego nie skończył /fot. 29/.

Ja w roku szkolnym 1937/1938 ukończyłem w/w szkołę powszechną. Ze szkoły zachowały się też inne fotografie /fot. 30, 31, 32/. Po zdaniu egzaminu do Gimnazjum Jezuitów /fot. 33/ zostałem zaproszony przez rodziców do kawiarni Rudnickiego na rogu ul. Mickiewicza i Placu

Katedralnego /która była właściwie kawiarnią literacką/. Zjadłem wtedy za dużo porcji lodów, które mi wówczas zaszkodziły. Załączam fotografie naszej rodziny i krewnych z 1939 roku /fot.34,35,36,37/.

Pod koniec nauki w szkole powszechnej zacząłem zbierać znaczki z różnych listów i przesyłek. Była to wybitnie amatorska namiętność, a o wartości tych znaczków napiszę w jednym z następnych rozdziałów. Szczególnie dużo miałem znaczków z Mandżurii, skąd napływała do nas ciągle korespondencja.

I-ą klasę Gimnazjum Jezuitów z językiem francuskim /była też łacina/ rozpocząłem w roku szkolnym 1938/39. Było nas w tej klasie 50 uczniów /spisy nauczycieli i uczniów różnych klas i różnych okresów czasu tego gimnazjum zostały w większości zachowane i na ich podstawie rozpoznajemy na fotografiach znajomych kolegów i nauczycieli na corocznych spotkaniach koleżeńskich z całej Polski w październiku oraz po Świętach Wielkanocnych i po Nowym Roku na spotkaniach kolegów zamieszkałych w Warszawie/. Opiekunem naszej klasy był Paweł Delalicz de Laval. Języka polskiego uczył ks. Kazimierz Kucharski. Matematyki uczył ks. Szczepan Machnicki. Religii uczył ks. Wacław Sęk. Gimnastykę prowadził Kazimierz Puchalski. Kapelanem harcerstwa był ks. Tomasz Rostworowski. Spis wszystkich nauczycieli i uczniów Liceum, Gimnazjum i Szkoły Powszechnej O.O. Jezuitów w Wilnie roku szkolnego 1938/39 został zachowany w całości, dlatego tak szczegółowo mogłem wymienić w/w nauczycieli i opiekunów.

W gimnazjum tym wstąpiłem do Harcerstwa Polskiego i do dzisiaj staram się dochowywać jednej z reguł, że na słowie harcerza polegaj, jak na słowie Zawiszy.

Fewnego razu zdarzył się wypadek, że w czasie lekcji gimnastyki tzw. chwytem Nelsona lekko zemdlałem, wówczas opiekun naszej klasy Paweł Dalalicz de Laval odwiózł mnie zaraz do domu z przeproszeniem rodziców, że nie stało się to umyślnie. Ponieważ znałem trochę język

francuski ze szkoły powszechnej, więc w gimnazjum lekceważyłem lekcje z tego języka, co odbiło się niekorzystnie nie tylko w wyższych klasach, ale i później, gdy w ogóle zrezygnowałem ze znajomości tego języka. na korzyść języka angielskiego i rosyjskiego.

Raz, gdy szliśmy z ojcem ul. Kościuszki z domu do centrum, dowódca pewnego oddziału wojskowego zobaczywszy u ojca stopień podpułkownika, dał rozkaz "baczość na prawo patrz", ojciec więc zasalutował temu oddziałowi, a ja również, bo co miałem robić, gdy byłem ubrany w harcerski mundur i czapkę.

### Lata młodości i okres II-ej wojny światowej

Wakacje letnie w 1939 roku zakończyły się tragicznym wybuchem II-ej wojny światowej, a ich początek był dla mnie tak szczęśliwy. Dostałem bowiem na wakacje 1939 roku w prezencie od rodziców rower firmy Ormonde, na którym jeździłem w okolicach Rojstel /gdzie stał tam nasz dom letniskowy - fot.38/, Ponar, Białej Waki i na lotnisko w Porubanku, gdzie na praktykę przyjechał mój kochany brat przyrodni Henryk, po zakończeniu Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie, jako lotnik obserwator. Powrót natomiast z lotniska na Porubanku do Rojstel był dla mnie niewygodny, bo rowerem kierował Henryk, a ja jako jego pasażer siedziałem na rowerowej ramie. Jedną z przygód, jaką zapamiętałem z tego okresu, była wizyta u kapitanostwa Łuskowiców w Rojstelach, na których działce był dosyć głęboki staw z wyspą w środku. Na wyspę prowadził mostek z belek, do których nie wszystkie deski poprzeczne były poprzybijane gwoździami. Kto szedł środkiem mostku niczym nie ryzykował, a kto szedł brzegiem ryzykował. Takim ryzykantem okazał się Henryk, który stąpając na nieprzybitą deskę wpadł w pięknym galowym ubraniu lotniczym /łącznie z kordzikiem/ do tego stawu. Było bardzo trudno jemu wrócić na czas na Porubanek, gdyż suszenie, czyszczenie i prasowanie ubrania zajęło

bardzo dużo czasu.

W dniu 1 września 1939 roku, gdy w Białej Wacie łowiłem ryby na wędkę, dowiedziałem się od mieszkających tam wieśniaków, że wybuchła wojna. Zostawiłem więc rower w naszym domu letniskowym w Rojstelach /fot.38/ i wróciłem z Ponar pociągiem do Wilna /nie myślałem wówczas, że już nigdy swego roweru nie zobaczę, gdyż zabrali go Sowieci, po niedługim już wejściu na nasze tereny/.

Ojciec mój, po zmobilizowaniu w sierpniu 1939 r. został we wrześniu komendantem obrony przeciwlotniczej Wilna, Henryk odleciał do jakiejś jednostki lotniczej, z którą następnie udało mu się przedostać do Francji, a po jej kapitulacji do Wielkiej Brytanii.

Siostra po przerwaniu studiów w Poznaniu zatrzymała się na okres całej wojny i okres powojenny u wdowy po stryju Antonelciu Róży Alexandrowicz w Miedzeszynie pod Warszawą. Brat Rajmund zgłosił się jako ochotnik do Wojska Polskiego i razem z ojcem 19 września 1939 roku przekroczyli granicę litewską unikając dostania się w ręce Sowieców. Ojciec został internowany, a brat wrócił do domu w listopadzie 1939 r. /zał.3/.

We wrześniu 1939 r. rozpocząłem chodzić do II-ej klasy Gimnazjum Jezuitów w roku szkolnym 1939/40 /fot.39/. Ciekawe jest to, że na 33 osoby, które są na tej fotografii, nasz kolega z klasy mieszkający w Warszawie Jerzy Ślężewicz /stoi w ostatnim rzędzie drugi od lewej/ po 50 latach potrafił rozpoznać aż 30 osób i przypomnieć imiona i nazwiska. Znakomitą ma on pamięć rozpoznawania swoich znajomych nawet po przeszło 50 latach.

W pierwszej połowie września przeżyliśmy kilkanaście nalotów bombowych przez niemieckie lotnictwo, w czasie których modlitwy do Boga pomagały mi opanować strach i popłoch.

Pewnego dnia po południu, był to chyba piątek, bo mama w kuchni smażyła placki, a ja na tarasie /fot.40/, pod którym była ta kuchnia zobaczyłem bardzo wysoko eskadrę samolotów i wołałem na mamę, żeby

weszła na taras i je zobaczyła, bo od dawna na niebie nie było widać w Wilnie żadnych polskich samolotów, gdyż broniły one centralnych części kraju zagarnianych kolejno przez Niemców. Mama, mając jakieś przeczucie, kazała mi natychmiast zejść na dół, co też chociaż niechętnie, ale posłusznie uczyniłem. Przeczucie mamy było uzasadnione, gdyż kilkaset metrów przy podobnym tarasie mała chyba 50 kg bomba, zrzucona ze stukasa, rozwaliła ganeczek /fot.41/ przy tarasie budynku na ul. Holenderni, gdzie znajomym naszym państwu Cywińskim udało się szczęśliwie wycofać w ostatniej chwili na wewnętrzne schody ich mieszkania, dzięki czemu zostali tylko pokaleczeni szkłem z potłuczonych szyb. Gorszy los spotkał żonę z dzieckiem jednego z poruczników, który niefortunnie przywiózł je, w celu ocalenia od niebezpieczeństwa z pod Wilna. Okazało się to fatalne, gdyż na drewniany dom, w którym mieszkała młoda żona z dzieckiem upadły bomby i oboje tragicznie zginęli, było to w jednym z domów przy ul. Wiosennej w pobliżu ul. Letniej. Były to wszystko bomby zrzucone z eskadry samolotów, które zauważyłem z naszego tarasu.

17 września po powrocie z gimnazjum nastawiłem radio i o godzinie 14-tej podano w wiadomościach wileńskich, że Niemców odrzucono spod Lwowa, front się ustabilizował, Niemcy nigdzie nie poszli naprzód i prawie wszystkie państwa europejskie wypowiedziały Niemcom wojnę. W tym momencie dzwonek do drzwi - wpada ojciec ze znajomym kpt. Grzmielewskim. Ojciec z mamą przygotowują jakieś osobiste części ubrań i bielizny, a ja z takim entuzjazmem powtarzam kapitanowi wiadomość radiową, a on do mnie mówi, że to nie jest prawda i nie mogłem wówczas zrozumieć po co były podane takie wiadomości. Zrozumiałem to nazajutrz.

Całą noc z 17/18 września 1939 r. nie mogliśmy właściwie zasnąć, słychać bowiem było odgłosy pojedynczych przeważnie strzałów oraz duży ruch posuwających się gdzieś oddziałów polskich. Nad ranem strzelanina ucichła i usłyszałem szum nadciągających czołgów. Były



one większe od tych oglądanych przeze mnie na defiladach wojskowych. Poza tym czołgów tych było dużo, więc powiedziałem mamie, że z taką liczbą czołgów to z pewnością wygramy wojnę z Niemcami. A mama na to odpowiedziała, a czy ty jesteś pewien, że są to polskie czołgi? Przecież poza numerami nie miały one oznaczeń z jakiego kraju pochodzą. I rzeczywiście po nadjechaniu dużej ich liczby, otwierano górne pokrywy i ukazywały się głowy czerwonoarmistów, a więc byli to Sowieci, którzy bez wypowiedzenia wojny zadali silny zdradziecki cios dobijający nasz kraj od strony wschodniej. Strzały, które słyszeliśmy w czasie nieprzespanej nocy z 17/18 września, były strzałami oddawanymi ~~przez~~ na polskie wycofujące się oddziały wojska. Strzelali Żydzi i komuniści. Komunikat, który słyszałem poprzedniego dnia przez radio miał uchronić od paniki naszą ludność i zmniejszyć liczbę strzałów do wycofującego się naszego wojska, które chciało zdążyć przekroczyć granicę litewską, być tam traktowane jako internowane, a liczba naszego wojska była zbyt mała, aby zachować niepodległość pod ciosami Niemców i Sowietów. W tej sytuacji straciliśmy niepodległość nie tylko z powodu klęski z Niemcami, ale i od noża w plecy ze strony naszego sąsiedniego państwa na wschodzie t.j. ZSRR. Zaczęło się masowe wykupywanie przez Sowietów wszystkiego, co jeszcze pozostało w naszych sklepach, rabunki, gwałty, aresztowania i pierwsze wywózki w głąb ZSRR polskich obywateli. Poza tym dawał się odczuwać głód w tych rodzinach, które nie zrobiły zapasów żywności do 1 września 1939 r. Nie trwało to jednak długo, gdyż na mocy porozumienia między rządem ZSRR a rządem litewskim Rosjanie oddali Wilno Litwinom w połowie października 1939 r., a sami wycofali się do baz wojskowych, niby nie wtrącając się do wewnętrznych spraw litewskich. Litwini zaś po wkroczeniu przywieźli dużo żywności i zaopatrzenie w nią nie przedstawiało trudności tym, którzy pracowali i zarabiali lity /odpowiednik złotego/.

Jeszcze pewnej nocy przed oddaniem Wilna Litwinom, ostry dzwonek

oderwał nas ze snu. Mama otworzyła drzwi tylko tyle, na ile pozwalał wewnętrzny łańcuch. Rosjanie chcieli wejść do mieszkania na siłę, chociaż oni szukali mieszkania nr 4 w domu nr 21, a u nas były tylko mieszkania nr 1, nr 2 i nr 3. Mama ich nie wpuściła i chciała przez drzwi kuchenne zawiadomić dozorcę, lecz już kuchenne drzwi były obstawione przez Sowietów z bagnetem na karabinie. Wreszcie sami Rosjanie sprowadzili dozorcę, który potwierdził, że pod nr 21 nie ma mieszkania nr 4. Wówczas Sowietów zapytali o nazwę ulicy, a gdy w odpowiedzi dowiedzieli się, że to jest ul. Kościuszki, przeprosili, gdyż szukali ul. Antokolskiej i odeszli. Już przedtem pisałem, że ul. Antokolska była przedłużeniem ul. Kościuszki. A co by było, gdyby mama wpuściła ich do środka, ile przedmiotów by zginęło, ile by poniszczyli, gdyby zobaczyli fotografie ojca - podpułkownika, stryja pułkownika i innych wyższych stopniem oficerów, to z pewnością bylibyśmy zapisani na pierwszy transport wywózki na wschód. Podobno na ul. Antokolskiej nr 21 m. 4 Sowietów szukali jakiegoś ukrywającego się oficera i niestety zastali go tam i zabrali. Innemu ukrywającemu się oficerowi dopisało szczęście. Nie spał on całymi nocami i stał gotowy do wyjścia, a mieszkał w domu na piątym piętrze bez windy. Pewnej nocy gdy usłyszał, że ciężarówka sowiecka stanęła przed tym domem, zszedł schodami na dół. Na I piętrze sowieci go spotkali i zapytali, gdzie jest mieszkanie o takim numerze, a on im odpowiedział, że na V piętrze /tam gdzie mieszkał/ i wobec tego, że go nie wylegitymowali wyszedł z budynku bez aresztowania.

Zaraz po wejściu Litwinów usunięto w mieście wszystkie polskie szyldy i napisy. Z gmachów i koszar zdjęto polskie godła, nie oszczędzając nawet Orła na Ostrej Bramie. Młodzieży szkolnej zabroniono noszenia mundurków. Litewscy studenci siłą zdarli moją czapkę i wyrzucili do rynsztoka, bo były na niej dwa guziczki z orzełkami. Mój brat Rajmund w kwietniu 1940 r. został pobity przez grupę Litwinów, a następnie wsadzony do więzienia na Łukiszkach. Groziła

mu nawet kara śmierci. Tylko dzięki dobrze nam znajomym Litwinom : Józefowi Varnasowi, który pracował w sądzie litewskim jako sekretarz oraz księdzu Witoldowi Szykszelowi, będącemu bliskim krewnym komendanta Wilna, u którego ksiądz poręczył za niewinność brata, akta mego brata zostały podarte i spalone i po kilku dniach Rajmund wyszedł na wolność.

W okresie Świąt Bożego Narodzenia 1939 roku i nowego roku 1940 mama pojechała w odwiedziny do ojca do jednego z obozów na Litwie, nie było jej w domu w ciągu 2 tygodni. Brat ze mną i dwoma kolegami graliśmy codziennie w brydża. Przy tej okazji popijaliśmy "po trochę" naszego domowego wina jabłecznego, które znajdowało się w pokoju półsuterenowym w 50-litrowej dużej okrągłej butli. Gdy termin powrotu matki się zbliżał, okazało się, że zostało w butli nie 45 litrów, ale zaledwie około 10. Cóż było robić? Żeby nie zdradzić naszego pijaństwa dolaliśmy do butli wody tyle, że było z powrotem 45 litrów płynu w butli. 2 czy 3 dni po powrocie mamy byli goście i mama poczęstowała wszystkich tym winem. Niekt nie chciał wypić już drugiego kieliszka tego wina, a i pierwszy pozostał przeważnie na stole. Sprawa się niebawem wydała bo zawartość butli zamieniła się w kwaśny "ocet" jabłeczny.

Pewnego dnia, gdy Rajmund siedział w więzieniu, a było to w okresie Świąt Wielkanocnych w 1940 r., znane nam trzykrotne pewne zakręcenie kręconym dzwonkiem u drzwi wejściowych było identyczne jakie używał nasz ojciec. I rzeczywiście w drzwiach stanął nasz ojciec w galowym mundurze, oświadczając nam, że zwolniono go z obozu dla internowanych na Litwie celem załatwienia zagospodarowania własności rolniczo-leśnych pod warunkiem, że da słowo honoru, że wróci we właściwym czasie do obozu. Chodziło w tym przypadku o naszą letniskową działkę w Rojstelach /5 hektarów/, na której m.in. posadzone rok przedtem drzewa owocowe wszystkie zmarzły na skutek mrozów zimą 1939/1940. Na działce tej o charakterze letniskowym dla nas było 1/3 lasu,

a 2/3 terenów rolnych, na których można było uprawiać żyto, owies, grykę i jęczmień. Tę część uprawy ojciec powierzał jednym z sąsiednich rolników, który je obsiewał i zbierał, a potem następował podział w stosunku 1:1 czy też 1:2 /tego nie pamiętam/ dochodu.

W roku szkolnym 1939/1940 kontynowałem naukę w II-iej klasie Gimnazjum Jezuitów, chodząc na lekcje piechotą prawie 3 km, gdyż komunikacja miejska nie działała /sowieci wywieźli wszystkie autobusy zwane w Wilnie "arbonami"/. Oczywiście jako dodatkowe przedmioty dodano za Rosjan język rosyjski, a za Litwinów język litewski.

Brat Rajmund częściowo uczył się, a częściowo pracował. Od listopada 1939 roku przychodziły do niego różne osoby. Domyślałem się, że bierze udział w działalności konspiracyjnej. Nasze mieszkanie, jak już uprzednio wspominałem, miało dwa wejścia - jedno od frontu, a drugie od ogródków, co było dogodne w tej sytuacji. Było to też dogodne ze względu na naukę na tajnych kompletach. Jednym wejściem przychodziło i wychodziło połowę osób i nie rzucało się to obcym w oczy.

W czerwcu 1940 roku złożyłem przysięgę i związałem się z działalnością konspiracyjną, wciągnięty przez brata Rajmunda. Dla pozorów koledzy brata organizowali grę w brydża. Karty były zawsze rozdane i w razie wpadki można było kontynuować rozgrywkę.

W czerwcu 1940 roku Litwa została włączona do ZSRR. Wówczas internowanych na Litwie oficerów /w tym mojego ojca/ wywieziono do obozów w ZSRR /było to między 6 a 10 lipca 1940 roku/, ale uniknęli oni haniebnej i podstępnej śmierci w Katyniu, Miednoje czy Charkowie i ojciec dostał się szczęśliwie do Armii gen. Andersa, w której służył do końca wojny /fot. 42, 43, 44/.

Nasz sublokator oficer litewski zmienił mundur na sowiecki. Dwa pokoje na górze zajęła rodzina komunistów sowieckich. Musieliśmy się utrzymywać z własnej pracy. Brat i ja pracowaliśmy fizycznie przy robotach budowlanych, ziemnych, a także przy piłowaniu i rabaniu drewna na opał. Brat przerwał całkowicie naukę, a ja oprócz nauki

a 2/3 terenów rolnych, na których można było uprawiać żyto, owies, grykę i jęczmień. Tę część uprawy ojciec powierzał jednym z sąsiednich rolników, który je obsiewał i zbierał, a potem następował podział w stosunku 1:1 czy też 1:2 /tego nie pamiętam/ dochodu.

W roku szkolnym 1939/1940 kontynowałem naukę w II-iej klasie Gimnazjum Jezuitów, chodząc na lekcje piechotą prawie 3 km, gdyż komunikacja miejska nie działała /sowieci wywieźli wszystkie autobusy zwane w Wilnie "arbonami"/. Oczywiście jako dodatkowe przedmioty dodano za Rosjan język rosyjski, a za Litwinów język litewski.

Brat Rajmund częściowo uczył się, a częściowo pracował. Od listopada 1939 roku przychodziły do niego różne osoby. Domyślałem się, że bierze udział w działalności konspiracyjnej. Nasze mieszkanie, jak już uprzednio wspominałem, miało dwa wejścia - jedno od frontu, a drugie od ogródków, co było dogodne w tej sytuacji. Było to też dogodne ze względu na naukę na tajnych kompletach. Jednym wejściem przychodziło i wychodziło połowę osób i nie rzucało się to obcym w oczy.

W czerwcu 1940 roku złożyłem przysięgę i związałem się z działalnością konspiracyjną, wciągnięty przez brata Rajmunda. Dla pozorów koledzy brata organizowali grę w brydża. Karty były zawsze rozdane i w razie wpadki można było kontynuować rozgrywkę.

W czerwcu 1940 roku Litwa została włączona do ZSRR. Wówczas internowanych na Litwie oficerów /w tym mojego ojca/ wywieziono do obozów w ZSRR /było to między 6 a 10 lipca 1940 roku/, ale uniknęli oni haniebnej i podstępnej śmierci w Katyniu, Miednoje czy Charkowie i ojciec dostał się szczęśliwie do Armii gen. Andersa, w której służył do końca wojny /fot. 42, 43, 44/.

Nasz sublokator oficer litewski zmienił mundur na sowiecki. Dwa pokoje na górze zajęła rodzina komunistów sowieckich. Musieliśmy się utrzymywać z własnej pracy. Brat i ja pracowaliśmy fizycznie przy robotach budowlanych, ziemnych, a także przy piłowaniu i rąbaniu drewna na opał. Brat przerwał całkowicie naukę, a ja oprócz nauki

pracowałem dorywczo.

W roku szkolnym 1940/1941, a więc przy rządach Litewskiej Republiki Radzieckiej w III klasie gimnazjum /już nie Jezuitów, którym zabroniono uczyć/ państwowego koedukacyjnego wprowadzono oczywiście nie tylko język litewski, ale i rosyjski, a łacinę skasowano. W okresie zimowym 1940/41 gimnazjum nasze zorganizowało na Rowach Sapieżyńskich szkolne zawody narciarskie, w których ja miałem wziąć udział w jednym z biegów. W przeddzień tych zawodów dostałem wysokiej gorączki i rozpoznany dyfteryt uniemożliwił mi wzięcie w nich udziału, czego mocno żałowałem. Na Rowach Sapieżyńskich największą górą był "Giewont" wileński. Zjazd z tej góry świadczył o umiejętności danego narciarza amatora. Do 1944 roku udało mi się z tej góry zjechać bez upadku jeden względnie dwa razy. Ogółem porównując obecne temperatury zimowe z temperaturami przedwojennymi i wojennymi, stwierdza się bardzo duże ocieplenie. W Wilnie, gdy śnieg spadł przed Bożym Narodzeniem to leżał do połowy marca. Warunki dla narciarzy, łyżwiarzy i saneczkarzy były idealne. Nie było potrzeby uprawiać te sporty amatorsko w Karpatach wschodnich czy zachodnich, wystarczyły tereny samego Wilna i okolic. Dorożki z saniami w okresie zimy stanowiły normalną komunikację konną, a kuligi były nieraz organizowane prawie w samym mieście, bez potrzeby sięgania dróg okolicznych miejscowości.

Przed 20 czerwca 1941 r. zakończył się rok szkolny. Zaproponowano nam płatną ochotniczą pracę na lotnisku Forubanek. Ja z bratem oraz jednym z kolegów szkolnych przepracowaliśmy w dużym upale i ciężko w piątek 20-go i sobotę 21 czerwca 1941 r. Radzono nam, aby łopaty wziąć z sobą do domu i szkoda, że z tej rady nie skorzystaliśmy, bo byłaby to jedyna zapłata za te dwa dni pracy. Namawiano, aby przyjść ochotniczo w niedzielę 22 czerwca, lecz my z tej namowy na szczęście nie skorzystaliśmy. Skorzystało zaś z tej namowy bardzo dużo wieśniaków z furmankami, nie spodziewających się takiego losu, jaki ich spotka w niedzielę 22 czerwca 1941 r.

22 czerwca 1941 r. o 9-tej rano, gdy byliśmy z mamą na mszy św. w kościele św. Piotra i Pawła, usłyszeliśmy huk daleko spadających bomb i pikujących samolotów niemieckich oraz terkot ich karabinów maszynowych, lecz tego przedpołudnia jeszcze nie bombardowano Antokolu. Było wybitnie zbombardowane i ostrzelane przez niemieckie samoloty lotnisko na Porubanku, bo Niemcy nie wypowiedając wojny prawie całą swą potęgą zaatakowali ZSRR. Na lotnisku Porubanek nie jest wiadome, czy zdążyło wystartować większość samolotów sowieckich. Te, co wystartowały były prawie wszystkie bardzo szybko niszczone przez przeważające jakością samoloty niemieckie. Niemcy tego poranka nie tylko zniszczyli pasy startów i lądowań sowieckich samolotów wojskowych, ale i hangary, składy amunicji, a ponadto zabito bardzo dużo ludzi pracujących tego dnia, w tym wielu polskich wieśniaków i ich koni.

Już od popołudnia 22 czerwca do 24 czerwca całe miasto było w zasięgu niszczeń niemieckiego lotnictwa, a między innymi starano się też zniszczyć wszystkie mosty przez Wilję, czego w większości Niemcom się nie udało, natomiast w sąsiedztwie tych mostów wiele domów zostało zbombardowanych i zginęło wielu mieszkańców Wilna. 24 czerwca już przed południem uciszyły się bombardowania, a zobaczyć można było resztki wycofujących się żołnierzy sowieckich i ich rodzin, a przed samym wkroczeniem Niemców zaczęli działać zbrojnie litewscy umundorowani faszyci, którzy ostrzeliwali resztki uciekających Rosjan. Między innymi ci faszyci ustawili karabin maszynowy na wzgórzu kościoła św. Piotra i Pawła i ostrzeliwali wycofujących się ulicą Kościuszki Rosjan. Koło naszego budynku już nie zdążyło uciec działo sowieckie z załogą, a przy placu koło kościoła po wkroczeniu Niemców widzieliśmy 2 ciężarówki rosyjskie z zabitymi kobietami i dziećmi.

Jeszcze przed uderzeniem Niemców na Rosjan rozpoczęto masową wywózkę ludności polskiej do ZSRR i trwało to aż do 22 czerwca

1941 r. Wejście więc Niemców do Wilna w godzinach południowych 24 czerwca 1941 r. ośmieliło część Polaków do wyjścia z domów z przekonaniem, że już odtąd nie będą wywiezieni na wschód, a najwyżej może już niedługo na roboty do Niemiec, czy niemieckich obozów koncentracyjnych. Z najwyższym zadowoleniem witali wkraczających Niemców Litwini, a szczególnie szaulisi litewscy i inni faszyci litewscy. Oni też w bardzo krótkim czasie przystąpili do prześladowania Żydów, Polaków i komunistów. My zaś byliśmy zaciekawieni jak wygląda dotychczas niepokonana armia niemiecka. Rzeczywiście miała w tym czasie co pokazać. Były to doborowe dywizje niemieckie, przygotowane prawie jak do defilady, oddziały blondynów o jednokowym prawie wzroście, estetycznie i czysto ubrani, bracie lśniąca i wypucowana i wszystko to wyglądało w porównaniu do Sowietów, jak paradnie przygotowane wojsko do niechlujnego i biednego wojska. Oczywiście po paru latach wojny sytuacja się zmieniła na niekorzyść Niemców, ale wtedy wyglądali jak triumfatorzy.

Przed wkroczeniem Niemców rodzina sowieckich komunistów uciekła z górnych pokoi naszego mieszkania, pokoje te zajęli Niemcy, a pokój na dole zajął nacjonalista litewski.

Niezwłocznie zabroniono posiadania odbiorników radiowych, a za posiadanie nawet broni białej /szabli/ można było stracić życie lub dostać się do obozu koncentracyjnego. Zabroniono nauki w szkołach powszechnych, gimnazjach, liceach i uniwersytecie. Można było natomiast uczęszczać na lekcje języków w Instytucie nauk języków /w którym zacząłem się uczyć języka angielskiego/, lekcje w niektórych oddziałach Szkoły Technicznej na ul. Holendernia. Właściwa nauka dla Polaków musiała zejść do podziemia w formie kompletów tajnego nauczania.

W pierwszej połowie lipca 1941 r. /t.j. po wkroczeniu Niemców/ rozpocząłem aktywną działalność konspiracyjną, która wzmogła się za okupacji niemieckiej. W ramach działalności konspiracyjnej



ZwZ-AK od lipca 1941 do maja 1944 r. byłem łącznikiem i gońcem, a także w ochronie ostrzegawczej miejsc zebrań na obszarze miasta. Według relacji mojego brata Rajmunda z 17 lipca 1992 r., gdy bawił on u mnie z krótką wizytą podczas jego pierwszego po 49 latach pobytu w kraju - jednego razu strzegłem bezpieczeństwa odprawy na ulicy ~~Potockiej~~ przy Popowskiej z kolegą Mirskim. Chodząc obserwowaliśmy ulicę. Mieliśmy w razie czego dać znać o zbliżaniu się Niemców. Odprawa odbyła się jednak bez kłopotów. Na odprawie przygrywał na pianinie niewidomy członek organizacji. Dąwódcą obecnym na tej odprawie był prawdopodobnie ppłk "Wilk" /Aleksander Krzyżanowski/ będący wówczas dowódcą wileńskiego i nowogródzkiego okręgu AK.

Pamiętam, że któregoś popołudnia koledzy /fot.45/ zapytywali mnie, dlaczego nie mogę zagrać z nimi w siatkówkę. Oczywiście nie mogłem im odpowiedzieć, że idę na ochronę ostrzegawczą, bądź doręczyć komuś wiadomość. Nawet jeśli moi koledzy również działali w innych komórkach konspiracyjnych, to obowiązywała każdego z nas ścisła tajemnica.

W roku szkolnym 1941/1942 przestałem się uczyć, ze względu na wykonywanie ciężkich prac fizycznych w ogrodzie u jednego z państwa Rusieckich zamieszkałych przy końcu ul. Letniej na górze, gdzie trzeba było zniwelować teren t.j. wykonać zamianę ogrodu o dużym spadku w ogród płaski. Nawoziłem się dużo piasku przy tej robocie taczkami, które trzeba było załadować, powieźć po nierównych deskach i zrzucić ich zawartość na obszarach, które miały być podniesione do średniego poziomu działki. Była to dla mnie praca bardzo męcząca, więc nie miałbym się wówczas dla chodzenia w tym czasie i naukę na tajnych kompletach.

Zima 1941/42 była bardzo mroźna, w Wilnie i okolicach było dużo śniegu. Jeździłem więc czasem na narty na Rowy Sapieżyńskie, dokąd dochodziłem przechodząc obok Szkoły Technicznej na ul. Holendernia, dalej wspinałem się pod dużą górę i od niej idąc dość długo wzdłuż płotu cmentarza żydowskiego. Mogłem wówczas zaobserwować, że na

niektórych grobach żydowskich celowo ktoś stłukł szybę na fotografii nieboszczyka, niektóre pomniki były przewracane, ale w sumie był to jednak w tym czasie znikomy stopień zniszczenia i niewiele się powiększał do końca okupacji hitlerowskiej. O całkowitym zniszczeniu tego cmentarza napiszę w jednym z następnych rozdziałów.

Przez cały okres okupacji niemieckiej obowiązywały kartki żywnościowe. W pewnych przypadkach w sklepach mięsnych dawano wybór kupującemu. 1/2 kg mięsa wołowego lub 2 kg koniny. Mama zawsze wybierała koninę zwłaszcza w okresie zimowym, gdy mrozy stanowiły naturalną lodówkę dla zabitych na froncie wschodnim koni. Czasem zdarzało się znaleźć w kawałkach tego mięsa kulę, która mogła się przyczynić do śmierci danego konia. Mama z koniny przyrządzała pyszne kotlety mielone. Jadło je wielu naszych przyjaciół i znajomych. Niejeden z nich stwierdzał, że nigdy by nie zjadł koniny, a wcinał ze smakiem te kotlety. Mama nigdy nie zdradziła tajemnicy z jakiego mięsa są dane kotlety mielone.

W 1942 roku pan Rusiecki dał mi lżejszą pracę w swoim zakładzie znajdującym się w rejonie ul. Jagiellońskiej. Robiliśmy tam, a właściciel sprzedawał, elektryczne kuchenki. W metalową ramę wkładało się płytkę z glinki szamotowej z wydrążonym rowkiem, w który należało ułożyć spiralę <sup>z chromonikieliny</sup> wykonaną uprzednio przez nas na nawijarce. ~~██████████~~ Następnie należało paciorkami izolacyjnymi zabezpieczyć końcówki, dokonać końcowych czynności montażowych i kuchenka była gotowa do sprzedaży. Za czynności te właściciel nam płacił po 20 fenigów od sztuki, a kuchenki, o ile dobrze pamiętam, były sprzedawane po 20 marek. Gdy chcieliśmy kiedyś podwyżki, właściciel zakładu pan Rusiecki odmówił nam. Był on jednak bardzo skrupulatny i uczciwy a ponadto oszczędny. Wracaliśmy kiedyś z nim z zakładu w kierunku naszych domów na Antokolu i w czasie przechodzenia w poprzek ulicy Arsenalskiej, panu Rusieckiemu wypadł ołówek, więc zatrzymaliśmy się na środku jezdni, by go podnieść. Nie zauważyliśmy, że pędzi ulicą

niemiecki samochód, który musiał zahamować, aby nas nie przejechać. Z samochodu wyskoczył czerwony ze złości oficer niemiecki i zapytał dlaczego zatrzymujemy się na środku jezdni ul. Arsenalskiej. Pan Rusiecki znający dobrze język niemiecki wyjaśnił, że wypadł mu ołówek i pokazał go oficerowi. Niemiec, gdy zobaczył, że był to zwyczajny ołówek, zaśmiał się i odjechał nie zrobiwszy nam awantury.

Lżejsza praca u pana Rusieckiego umożliwiła mi kontynuację przerwanej nauki na tajnych kompletach.

W końcu sierpnia 1942 roku przyśnił się mamie Heniek, tak jakby przyleciał do nas samolotem, a nie było jasne jak mógł przecież wylądować w środku zajętego przez Niemców obszaru, a Henryk chciałby wyskoczyć i przyjść do domu. Po kilku tygodniach z obozu jeńców lotników w Niemczech przyszedł list od Henryka, że jest on w niewoli niemieckiej, że ratował się skokiem na spadochronie z uszkodzonego samolotu, że przesyła nam pantofle, koszule, skarpetki i inne drobiazgi, a prosi o przysyłanie cebuli, bo choruje na skorbut. Odtąd regularne paczki w obie strony były wysyłane do maja 1944 roku. Wacław Krol w książeczce "Trzydzieści sekund nad celem" /wyd. MON, W-wa, 1980/ na str. 38/39 opisuje ten niefortunny lot Wellingtona N1400 z dywizjonu bombowego 305, w którym jako ppor lotnik obserwator leciał mój przyrodni brat Henryk Alexandrowicz. 29 sierpnia 1942 roku, w drodze powrotnej po nalocie na Saarbrücken i zrzuceniu bomb, w wyniku ostrzeżenia przez niemiecki nocny myśliwiec, Henryk wyskoczył z uszkodzonego i palącego się Wellingtona na spadochronie, a następnie ranny kilkoma pociskami dostał się do niewoli niemieckiej /fot. 46/. Z niewoli wydostał się dopiero po wyzwoleniu przez zachodnich aliantów, a po wojnie został na emigracji na Zachodzie.

W 1943 roku praca u pana Rusieckiego się skończyła, więc przeważnie zarabiałem przygotowując drewno na opał. Każdy właściciel domu kupował 1 metrowej długości okrągłaki, które trzeba było przepiłować na 3

części, porąbać i złożyć. Dwóch mężczyzn w ciągu 8-12 godzin przy ostrej piłę i dobrych 2 siekierach zawsze zdążyło popiłować i porąbać 2 m<sup>3</sup> takich okrągłaków. Posiadaliśmy jedną dobrą piłę poprzeczną rosyjską i 2 dosyć duże i dobre siekiery i prawie zawsze taką normę za odpowiednią opłatę wykonywaliśmy.

Uczęszczałem pilnie na tajne komplety nauczania, a czasem wieczorami do późnej nocy graliśmy w brydża. Godzina policyjna wewnątrz naszych bloków spółdzielczych nas "nie obowiązywała", gdyż wracaliśmy ścieżkami i ogródkami przez wejścia kuchenne, przez co nie było konieczne ryzykowanie życia, gdybyśmy musieli wyjść na którąś z ulic.

Pewnego razu nacięliśmy się na nietypowym zamówieniu, a mianowicie zamiast okrągłaków dostaliśmy od znajomej majorowej do przepiłowania i porąbania 2 m<sup>3</sup> desek. Na oko wyglądało to na normalną normę, ale realizacja przekroczyła nasze możliwości. W 1 m<sup>3</sup> okrągłaków samego drewna jest może około 1/2 m<sup>3</sup>, natomiast w deskach około 0,95 m<sup>3</sup>. Deski były bardzo cienkie, ale szerokie. Na przyniesionym przez nas koźle pojedynczo trzeba było przepiłować kilkakrotnie więcej sztuk desek niż okrągłaków, a przy kładzeniu na koziół do piłowania kilku sztuk desek razem nie było możliwości ich przepiłowania, gdyż piła się zacinała. Po 11 godzinnej pracy zakończyliśmy piłowanie, pozostawiając ogromną górę przepiłowanych kawałków desek. Wzięliśmy z sobą piłę i siekiere i po kryjomu uciekliśmy ze składowiska, w którym piłowaliśmy. Nie mieliśmy sił ani chęci dalszego zajmowania się tymi deskami, rezygnując z góry z zapłaty za nieskończoną robotę. Na drugi dzień w czasie gry w brydża - dzwonek. Otwieram drzwi i truchleję ze strachu, bo stoi w nich pani majorowa. Wręcza mi pełne wynagrodzenie za naszą dotychczasową pracę. Rozumie, że deski to nie okrągłaki i nie żąda ich przerąbywania i składania. Sytuacja została więc szczęśliwie zakończona.

Na ul. Letniej 5, gdzie znajdował się szpital wariatów, około

300 m od naszego boiska do siatkówki /naszego,bo zaczęliśmy również sami grywać w tę grę/,wypatrzyliśmy za płotem słup nadający się do zastąpienia jednego z dwóch naszych słupów,który się złamał.10 minut przed godziną policyjną /chodziło bowiem by było już ciemno/ dokonaliśmy kradzieży i punktualnie,gdy zaczęła ona obowiązywać,byliśmy już na naszym placu.Wróciłem 15 minut po 22-ej i dostałem obsztorc od brata Rajmunda,że włóczę się bez uprzedzenia o takiej porze.Po wysłuchaniu mego wytłumaczenia o dokonanym "przestępstwie" darował mi moją niesubordynację.Fragmenty wspomnień mego brata Rajmunda z działalności konspiracyjnej zawiera zał.4.

W roku 1943 dostawałem coraz więcej zadań przy wykonywaniu funkcji łącznika i gońca,a także w ochronie ostrzegawczej różnych narad i zebrań.W lipcu,któregoś dnia poszliśmy pod most Strategiczny na Antokolu trochę popływać.Oprócz mnie poszli : Tadeusz Krukowski, Zbigniew Rusiecki /syn mego byłego pracodawcy/ oraz ~~Tadeusz~~ Piotrowski. Wszyscy trzej moi koledzy doskonale pływali,a ja natomiast umiałem tylko pływać "pieskiem" i po 10 metrach już się męczyłem,a że nie umiałem pływać na plecach,więc nigdy nie zaczynałem pływać,gdy odległość miejsca do którego miałem dopłynąć była większa od 10 m i gdzie mogła zachodzić obawa,że prąd zniesie na większą odległość od celu,a o przepłynięciu nawet 1 metra pod prąd nie było nawet mowy.Koledzy natomiast nie tylko potrafili przepłynąć całą szerokość Wilji w Wilnie,umieli pływać pod prąd,pływać na plecach,skakać z różnych wysokości do wody,mogli również ratować w razie potrzeby,choć nie starali się o funkcję ratownika,a karta pływacka w Wilnie nie obowiązywała.Każdy na siebie brał ryzyko przy pływaniu. Ponieważ pierwszy filar mostu Strategicznego był w odległości około 10 m od brzegu,ja po odpowiednim pójściu w górę rzeki i wykorzystaniu silnego prądu rzeki zgodnego pod pewnym kątem z moim pływaniem "pieskiem" potrafiłem przepłynąć z brzegu do tego filaru,a następnie,po pewnym odpoczynku,przepłynąć z powrotem na brzeg.Były

to moje maksymalne możliwości przy umiejętności pływania. Nie pamiętam który z kolegów wpadł na pomysł, że bym spróbował przepłynąć od pierwszego do drugiego filara tego mostu przez środek rzeki, przy głębokiej w tym miejscu wodzie i bardzo silnym prądzie. W każdym razie, gdy cała trójka obiecała mi asystować i ratować, gdy mi zabraknie sił na dalsze płynięcie, dałem się namówić i to była decyzja fatalna, bo się okazało, że życie moje zostało bardzo zagrożone, bo topiłem się w środku Wilji przy moście Strategicznym. Nikt z moich kolegów nie ustalił zasad asystowania przy moim płynięciu "pieskiem" i nie zabezpieczył w przemyślany sposób formy udzielenia pomocy, dysponowania łódką, która byłaby w pobliżu tej niebezpiecznej zabawy. Ja dopłynąłem bez przeszkód do pierwszego filara i po przejściu w górę nurtu rzeki /za filarem było płyciej i można było przejść w górę rzeki nawet kilkadziesiąt metrów/. Po odpoczynku krzyknąłem do kolegów, że rozpoczynam płynąć, a oni potwierdzili, że będą mi odpowiednio asystować i udzielać niezbędnej pomocy. Rozpocząłem płynąć "pieskiem" i gdy znalazłem się w połowie odległości pomiędzy filarami, prąd mnie tak zniósł, że znalazłem się pod mostem, a nie jak wszyscy się spodziewali jeszcze przynajmniej 15 m w górę nurtu rzeki. Znalazłem się w samym środku rzeki, o największej w tym miejscu głębokości, oddalony o co najmniej 100 metrów od każdego z brzegów rzeki. Zobaczyłem Zbyszka Rusieckiego w odległości około 10 metrów od siebie i powiedziałem mu, że nie mam już siły płynąć, więc niech udzieli mi pomocy. Zbyszek podpłynął do mnie i ja położyłem na jego plecach rękę sądząc że on popłynie w wybranym przez siebie kierunku i spowoduje przypłynięcie pozostałych kolegów. Nie wiem dlaczego Zbyszek nie zrobił wówczas żadnego ruchu, w wyniku czego obydwa zanurzyliśmy się w głębokiej w tym miejscu rzece. Dalsze losy przekazali mi koledzy później. Jak się okazało najbliższej naszej zanurzonej dwójki znalazł się Tadeusz Piotrowski, który po zobaczeniu, że obaj "poszliśmy na dno" oddalił się od nas i zaczął



a gdy podchodziłem do Tadeusza Piotrowskiego, Tadeusz Krukowski krzyknął "jemu nie dziękuj, bo uciekł od ciebie, gdy ze Zbyszkim zanurzyliście się w środku rzeki, a był najbliżej i doskonale pływał". Tak zakończyła się szczęśliwie ta tragiczna przygoda, o której w domu nie opowiadałem nikomu, bo mama bardzo by się zmartwiła niebezpieczeństwem, na jakie byłem narażony.

23 sierpnia 1943 roku wracałem razem z bratem ul. Kościuszki do domu. Już z daleka zobaczyłem patrol niemiecko-litewski, który na wrywki legitymował mężczyzn. Poradziłem Rajmundowi, aby przejść na drugą stronę, bo wówczas może unikniemy aresztowania. Brat nie usłuchał tej rady, gdyż uważał, że zaświadczenie o pracy budowlanej wydane przez firmę, w której on pracował wystarczy, aby nie być zatrzymanym. Sądzę, że tak by było, ale Rajmund zażądał od Litwina okazania dokumentu, na podstawie którego ten funkcjonariusz został upoważniony do legitymowania innych. Rozwścieczyło to ten dwuosobowy patrol i brata zatrzymano i zakwalifikowano na przymusowe roboty w Niemczech, skąd później przychodziły od niego listy. Jeden z listów, który na szczęście był adresowany do jednej z łączniczek i którego treść została mi przez nią przekazana dosyć późno /na szczęście dla mnie/ wskazywał, że brat pracując przy szlifierce pluje krwią /początek gruźlicy/, wobec czego wybiera się do siostry /mieszkającej w Miedzeszynie pod Warszawą/, co oznaczało, że zamierza uciekać. Przed <sup>przez mnie</sup>zpoznanieniem się z tym listem wpadło do nas Gestapo i poszukiwało jego w naszym mieszkaniu. Mama pokazywała jego listy z Niemiec, wówczas gestapowiec litewski szepnął mamie "on udrał", co znaczy "on uciekł". Ucieczka się nie udała i brat za karę był w dwóch obozach koncentracyjnych m.in. w Bergen Belsen oraz przy pracach w kamieniołomach.

Zostałem więc z matką sam. Zacząłem dodatkowo pracować na popołudniowych i nocnych zmianach w fabryce drewniaków Brewińskiego /niedaleko kościoła św. Kazimierza i Gimnazjum Jezuitów/ /fot. 47 i 48



Pracowałem tam bądź w ciepłej suszarni bądź jako pomoc benzagiście /która polegała na tym, że na deskach trzeba było wyrysować według szablonu kształt drewnianych podeszew na wybranych deskach, pomagać przy przepiłowaniu tych desek na mniejsze kawałki oraz sprzątać przy stanowisku piły elektrycznej zwanej benzagą/, bądź też jako dyżur przeciwpożarowy. Dużo z nas /w tym ja/ udawało, że pracuje, a myśmy się obijali, mogąc w tym czasie uczyć się zadanych lekcji na tajnych kompletach. Przywilejem pracy w tej fabryce było to, że każdy pracownik mógł wynieść z sobą tyle drewna /obrzynek/ na opał, ile mógł udźwignąć. Ci co bliżej mieszkali, wynosili je workami, ja zaś mając do pokonania odległość do domu wynoszącą 3 km wynosiłem jeden pełen plecak. Od czasu do czasu dyrektor Brewiński, stojąc przy wyjściu kazał wysypywać zawartość worka /plecaka/. Jeśli nie znalazł nic prócz drewna - wszystko było w porządku, lecz gdy znalazł skradzioną z innego działu skórę, uderzał publicznie winnego w twarz i wyrzucał z pracy, a może nawet oddawał winnego w ręce Gestapo. Jednym z kierowników na dziale drewnianym, gdzie pracowałem, był słynny reżyser audycji radiowych Zbigniew Kopalko, który udawał, że nie widzi jak niska jest nasza wydajność /Zbigniewa Kopalkę już po wojnie widziałem kilkakrotnie w Warszawie/. Nie zaniedbałem przy tym swojej nauki na tajnych kompletach i do czerwca 1944 r., po małej maturze, ukończyłem I klasę licealną.

W czerwcu 1944 r. zostałem skierowany do lasu, na podstawie przydziału organizacyjnego. Dostałem do wyboru za duże o numer buty /8/ z cholewami /niemieckie saperki/ lub za ciasne /6/ sznurowane kamasze wojskowe. Moim numerem była 7. Wybrałem za duże saperki, które miały tę zaletę, że w cholewę można było włożyć niemiecki granat zaczepny. Ale w partyzantce bardzo poobcierałem nogi. Do tych saperek założyłem zielone spodnie wojskowe, a na górze miałem mundur po ojcu, oczywiście bez dystynkcji /byłem szeregowcem/ oraz rogatywkę z orłem i dodatkowo zielony brązowy płaszcz. Naszą grupę wypro-

wadziła z Antokolu Jadwiga Filipiska, która wraz z mężem i dwójką nieletnich synów mieszkała blisko lasu, na ul. Borowej. Była to znajoma mojej matki i nic nie wiedzieliśmy o jej powiązaniach konspiracyjnych, co było bardzo słuszne dla zabezpieczenia tajemnic w działalności Armii Krajowej. Następnie przejęli nas inni łącznicy i w końcu dotarliśmy do 6-tej Wileńskiej Samodzielnej Brygady Partyzanckiej AK, dowodzonej w tym czasie przez komendanta mjr "Konara" /Franciszka Koprowskiego//fot.49/. Jego adiutantem był ppor "Otto" /Tadeusz Sawicki/, a szefem sztabu por. "Tońko" /Adam Boryczka/. Mój brat Rajmund w liście z września 1992 r. wyraża<sup>nie</sup> przychylne stanowisko do naszego dowódcy - zał.5/. Zostałem przydzielony do plutonu ckm i broni towarzyszącej, dowodzonego przez por. "Lisa" /NN/, do 2 drużyny dowodzonej przez kpr "Nieznanego" /NN/ jako amunicyjny. W tym czasie odbywaliśmy szkolenia wojskowe /fot.50/. Nocowaliśmy w lasach bądź we wsiach w stodołach, gdzie nie oszczędzały nas pchły i wszy. Ludność miejscowa /Polacy i Białorusini/ była bardzo przyjaźnie do nas nastawiona - okazywała serdeczność i gościnność. Częstowali nas chlebem, serem, mlekiem, miodem i jajkami. Gdy przechodziliśmy przez Turgiele, uwierzyliśmy, że to rzeczywiście tzw. "Rzeczpospolita Turgielska". Turgiele i Taboryszki /fot.51/ były to pierwsze dwie miejscowości na wileńszczyźnie wyzwolone w końcu 1943 roku spod okupacji. Na obszarze kilku tych gmin niepodzielną władzę sprawowały oddziały Armii Krajowej. Na zbiórkach i uroczystościach wojskowych często śpiewaliśmy Hymn Partyzantów Wileńskich, którego autorem był "Kim" /Henryk Rasiewicz/ z 3-ej Brygady "Szczerbca". A oto hymn :

"Na znojną walkę, krwawy bój z wrogami  
Każdego z nas sumienia wezwał głos.  
Przebojem iść, a los iść musi z nami,  
A jeśli nie - to przełamiemy los :  
Życie lub śmierć rozdziela nam przypadek

Najwyższym prawem nam żołnierska cześć :  
Granatów huk, bojowych wypraw ślady  
Twardego życia, twardą tworzą pieśń.  
Bo nasza pieśń nie pachnie rozmarynem,  
Nie ma w niej dziewcząt ni pachnących ust.  
Jak nasze życie pachnie krwią i dymem,  
Pieszczotą rąk - karabinowy spust.  
Naszą muzyką cekaemów bicie,  
Nocne ataki nam rozrywką są.  
Gdy wrogi pocisk przetnie czyjeś życie,  
Kto pozostanie, wywalczy wolność swą.  
Dość mamy pęt, skończyła się cierpliwość,  
Dość pełnych więzień i spalonych miast.  
Mścicielska pięść wymierzy sprawiedliwość,  
A naszą pieśń podniesiem aż do gwiazd.  
Bo nasza pieśń nie brzęczy łańcuchami,  
Kipi w niej ból, nasz sprawiedliwy gniew !  
Ten przeciw nam, który nie idzie z nami,  
Jak wyrok groźny jemu jest nasz śpiew."

A na modlitwach wieczornych śpiewaliśmy następującą pieśń :

"O Panie, któryś jest na niebie,  
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń !  
Wołamy z wszystkich stron do Ciebie  
O polską moc i polską broń.  
O Panie skrusz ten miecz co siecze kraj,  
Do wolnej Polski racz nam wrócić daj,  
By stał się twierdzą nowej siły  
Nasz dom - nasz kraj.  
O Panie usłysz prośby nasze,  
Wysłuchaj nasz tułaczy śpiew

Znad Wisły, Wilji, Sanu, Bugi

Męczeńska do Cię woła krew.

O Panie skrusz ten miecz co siecze kraj,

Do wolnej Polski racz nam wrócić daj,

By stał się twierdzą nowej siły

Nasz dom - nasz kraj."

Przy dłuższych marszach moje obtarte za dużymi butami nogi bardzo bolały i dokuczały. Zwróciłem się do por. Lisa z prośbą, by móc przez pewien czas usiąść na wóz naszych taborów. Usłyszałem od niego radę: "zaciśnij zęby, zgrzytaj, płacz, ale wytrzymaj, bo tak się zahartujesz, że gdy będzie potrzeba wszystko wytrzymasz." Jaka to była dobra rada i jak się przydała już wkrótce, gdy spotkały nas gorzkie rozczarowania i chęć zniszczenia nas przez Sowietów.

Przed marszem na Wilno w ramach operacji "Ostra Brama", nasza 6-ta Samodzielna Brygada znajdowała się w rejonie Ejszyszek. Na początku lipca odwiedził nas komendant Okręgu "Wilk" /Aleksander Krzyżanowski//fot.52,53,54/. Ubrany był w mundur wojskowy z dystynkcjami generalskimi. Niedługo po tym rozpoczęliśmy marsz w kierunku Wilna /fot.55,56,57,58/. Był wielki entuzjazm, że będziemy mogli oswobodzić nasze najukochańsze miasto. Po drodze spotykaliśmy oddziały z innych brygad. Spotkałem wówczas kolegę z bloków mieszkalnych Czesława Cywińskiego, który był w I-iej Brygadzie "Juranda" /Czesława Grombczewskiego/, "Jurand" zginął 13 lipca 1944 r. w czasie bitwy z wycofującymi się Niemcami w Krawczunach - fot.59/. Nasza brygada miała w nocy z 7/8 lipca 1944 r. osiągnąć Trakt Czarny i ubezpieczać tutaj tyły naszych oddziałów partyzanckich nacierających na Wilno. Cały czas odbywaliśmy męczący marsz. Przekroczyliśmy tor kolejowy Wilno-Lida. Gdy termin natarcia na Wilno został przesunięty o dzień wcześniej, nasza brygada nie zdołała dotrzeć do miejsca na Czarnym Trakcie, gdzie miała osłaniać natarcie innych

brygad. Rano 7 lipca część naszej brygady znalazła się koło majątku Szwajcary, z którego oswobodzono grupę jeńców sowieckich, jugosłowiańskich i włoskich, eskortowanych przez Niemców. Dalszy marsz naszej brygady w kierunku Wilna został wstrzymany, gdyż polskie natarcie na Wilno tylko przez oddziały AK szybko się załamało wobec umocnień i ogromnej przewagi Niemców w uzbrojeniu. Razem siły niemieckie liczyły około 17500 ludzi i dysponowały 270 działami, 60 czołgami i samobieżnymi działami pancernymi, a także 50 opancerzonymi wozami zwiadowczymi. W różnych fazach operacji wileńskiej w mieście i okolicach wzięło udział około 9000 partyzantów Okręgu Wileńskiego i około 6000 Okręgu Nowogródzkiego. Samorzutny aktywny udział AK w operacji wileńskiej nie był konsekwencją sojuszków i współpracy, lecz klimatem nieustępliwej walki toczonej przez społeczeństwo polskie z reżimem hitlerowskim od początku okupacji. Walki o Wilno w sumie trwały 7 dni i zakończyły się likwidacją resztek Niemców 13 lipca 1944 r. Z rana 13 lipca 1944 r pchor "Krepdeszyn" /Jerzy Jensch/ i kpr "Zan" /Artur Rychter/ dokonali historycznego symbolicznego czynu, a mianowicie zawiesili polską flagę na baszcie Gedymina na Górze Zamkowej, która z rozkazu dowództwa sowieckiego została zdjęta przez sowieckich żołnierzy. /*fol. 60, 61*/

W mieście już zdobytym chorągwi polskich i ZSRR było wiele, nie dało się jednak zauważyć żadnej chorągwi litewskiej /*fol. 62*/ . Mama i inni mieszkańcy Wilna mogli to zobaczyć na własne oczy, nasza brygada jednak nie była przewidziana do bezpośredniego ataku i walk o Wilno, więc my niestety nie mogliśmy tego zobaczyć naocznie. Dowódca oddziałów partyzanckich w polu ppłk "Poleszuk" nadał do komendanta głównego AK dnia 14 lipca 1944 r depezę : "Wilno zdobyte przy znacznym udziale AK która weszła do miasta. Duże zniszczenia i straty. Stosunki z armią sowiecką chwilowo poprawne. Rozmowy w toku. Wilno przeżyło bardzo krótką, ale jakże radosną chwilę wolności. 14 VII - polskość miasta bije w oczy".

Większość brygad naszych z poza Wilna kierowały się do poprzednich miejsc w lasach. Między 12 a 15 lipca 1944 r. wydawano nam legitymacje wojskowe AK /z odciskiem palca/. Byliśmy zmęczeni i zawiedzeni. Do oddziałów zgłosiło się wielu nowych ludzi. W czasie jednego postoju jakiś nowy porucznik kazał mi pilnować jego konia /ja nie wiedziałem jak postępować z koniem/. Nie mogłem wtedy odpocząć i z zazdrością patrzyłem na innych, którzy mogli spać. 16 lipca naszą brygadę odwiedził komendant Okręgu gen. "Wilk" i poinformował nas, że po rozmowach z dowódcą frontu białoruskiego uzyskał zgodę na utworzenie korpusu Wojska Polskiego, który nie będzie podporządkowany Armii gen. Berlinga. Następnego dnia wizytował naszą brygadę jakiś generał sowiecki, przy obecności por "Brankarda" /Eryka Budzyńskiego/ - adiutanta komendanta "Wilka". Oddziały nasze po reorganizacji i przebrojeniu miały brać udział w walkach przeciw Niemcom. Była to duża nadzieja, ale jak się okazało, nie tylko niepewna, ale i zdradliwa. 17 lipca zaproszono komendanta "Wilka" do podpisania porozumienia z gen. Czerniachowskim <sup>do budynku</sup> przy ul. Kościuszki 14/16 /fot. 63/ w Wilnie, który był widoczny z naszego mieszkania. Moja matka oglądała ceremonie powitalne. Pożegnania już nie było, gdyż komendant Okręgu i szef sztabu zostali podstępnie aresztowani. Kolejnym zdradzieckim miejscem działań Sowietów w dniu 17 lipca była miejscowość Bogusze, gdzie "Wilk" zwołał odprawę wszystkich wileńskich dowódców brygad i batalionów Okręgu Nowogrodzkiego i zamietzał przyjechać w towarzystwie gen. Czerniachowskiego. Na odprawę została wyrwana duża łaka na tyłach domu mieszkalnego. Zamiast generałów przyjechała kolumna samochodów osobowych i ciężarowych. Sowieccy oficerowie i żołnierze wojsk ochrony pogranicza zdradliwie i podstępnie aresztowali wszystkich naszych dowódców, w tym dowódcę naszej brygady mjr "Komara". Wszystkie nasze oddziały - wileńskie brygady i nowogrodzkie bataliony - zostały bez swoich dowódców.

Po otrzymaniu tych wiadomości, dowództwo naszej brygady i innych

oddziałów przejął por "Tońko" /Adam Boryczka/. Zarządził on wymarsz wszystkich jednostek do Puszczy Rudnickiej. Wymarsz nastąpił po zmroku, lecz nie zdążyliśmy dojść przed świtem. Nad nami latały sowieckie kukuruźniki, a obok posuwały się oddziały sowieckie i NKWD. Na razie nie atakowali nas. Około południa 18 lipca większość nas spała po długim, męczącym marszu. Ja w taborach wymieniałem karabin KBK na krótszy Mauser. Chciałem się zaraz położyć, gdy dwóch Sowietów na koniach z daleka zbliżających się do nas. Popędziłem do swojego dowódcy por "Lis" z wiadomością i pytaniem co robić? Powiedział, że jeśli chcę wyrwać się z okrążenia, to mam iść na wskazany przez niego kierunek. Por "Lis" zebrał około 20 - 30 partyzantów i wyprowadził nas poprzez bagna i gęsty las z okrążenia. Trwało to kilka dni. Po pewnym czasie większość z nas zdecydowała się wracać do Wilna. Niektórzy, jak ja, woleli wędrować do innych lasów i szukać kontaktu z działającymi jeszcze oddziałami, które nie dały się okrążyć, ani rozbroić przez Sowietów. Wracający do Wilna kpr "Bob" /Romuald Fedorowicz/, który nie zamierzał jednak kapitulować, zostawił mi do dysponowania nowy radomski Nagan, za co mu bardzo podziękowałem. Pozostało nas pięciu i dalej prowadził nas por "Lis" poprzez prawie dziewicze lasy i bagna. Raz gdy stałem na warcie za ogromnym zwalonym drzewem, zauważyłem dużą grupę polskich partyzantów. Obudziłem por "Lis", który poszedł do nich. Był to oddział partyzantów, prowadzony przez kpt. "Lis" /Mariana Mostowicza/ z naszej brygady /fot. 64/. Nasza piątka spała w ciągu dnia w lesie lub we wsiach w stodołach na sianie. Taki mały oddział nie miał kłopotów z ukrywaniem się i wyżywieniem wśród sprzyjającej nam ludności tam zamieszkałej. Oprócz dowódcy pamiętam kpr "Kora" /Zygmunta Komorowskiego/. Pewnego dnia musieliśmy przepłynąć rzekę. Była to chyba Solczą, Mereczanka lub Nacza. Ja nie umiałem pływać, o czym wyżej wspomniałem o topieniu się przy moście Strategicznym w Wilnie. Zgłosiłem to por "Lisowi". Polecił mi rozebrać się do naga

i zostać na warcie z karabinem, ukrywając się w krzakach, a sam z pozostałymi partyzantami i z moimi rzeczami przepłynął rzekę, po czym sam osobiście przyplłynął z powrotem i pomógł mi przedostać się na drugi brzeg rzeki. Tacy to oddani byli dla nas dowódcy. W końcu lipca 1944 r. nasza piątka dotarła do Puszczy Ruskiej, gdzie był już por "Tońko" z resztą 6-ej Brygady w zgrupowaniu mjr "Jaremy" /fot. 65, 66/, w którym dowodzenie nad oddziałem wileńskim "Solcza" objął por "Tońko", a nad oddziałem oszmiańskim "Wisińcza" - kpt "Jeź". Nigdy nie zapomnę serdecznego powitania naszej piątki przez por "Tońkę", który wszystkich nas ucałował, co było dowodem prawdziwej demokracji. Z taką serdecznością mogłem się spotkać dopiero wiele lat po wojnie na koleżeńskich spotkaniach naszych AK-owskich środowisk.

W tym czasie, gdy ciągle byliśmy zagrożeni napaścią przez Sowietów, mieliśmy zabronione używanie broni i strzelanie w lasach i w wioskach, aby nie zdradzić naszej obecności. Pewnego dnia byłem wraz z kolegą na warcie. Leżeliśmy pod paprociami. Mój kolega zasnął. Nagle zobaczyłem zbliżającego się, zabłąkanego /po odejściu frontu/ niemieckiego oficera z automatem MP i zanim mój kolega obudził się krzyknąłem: Halt! Hände hoch! Niemiec zaczął uciekać, a ja zgodnie z rozkazem nie miałem prawa wystrzelić. Może dobrze, że tak się stało, bo Niemiec mógł być szybszy i zastrzelić nas obu ze swego automatu.

Na początku sierpnia 1944 r., gdy dowiedzieliśmy się o wybuchu Powstania Warszawskiego i okrucieństwach Niemców mordujących bezbronną ludność Warszawy, część złapanych przez nasz oddział Niemców zostało odpowiednio srogo ukaranych.

Po 10 sierpnia nasz oddział "Solcza" znacznie się skurczył. Maszerowaliśmy po nocach, ciągle zmieniając miejsca postojów i unikając spotkań z jednostkami sowieckimi /fot. 67, 68/. Dzięki temu oddział nasz nie uległ zagładzie, co zdarzyło się oddziałowi



"Kotwicza" i mjr "Jaremy". Przez ostatnie 3 tygodnie zacząłem cierpieć na bezsenność. Gdy mogłem spać to nie zasypiałem, a gdy stałem na warcie ledwie wytrzymywałem żeby nie zasnąć.

W końcu sierpnia por "Tońko" zdecydował się rozwiązać część naszego oddziału, zalecając przebranie się w ubrania cywilne i udanie się do stałych miejsc zamieszkania, dwójkami /ze względów bezpieczeństwa/. Ja wyszedłem wraz z doświadczonym partyzantem "Zielonym", który zostawił mnie jednak samego po przejściu kilku kilometrów, twierdząc, że moje ubranie jest zbyt podejrzane. Moje ubranie rzeczywiście mogło być podejrzane. Miałem na sobie zielony płaszcz brezentowy, a pod nim mundur wojskowy bez guzików i zielone spodnie, wpuszczone do niemieckich saperek. Z dokumentów miałem jedynie wojskową legitymację AK, a w kieszeni Nagan. Odtąd moja wędrówka była bardzo niebezpieczna, tym bardziej, że nie znałem okolic Wilna. Starałem się pytać o drogę kobiety lub dzieci. Wędrowałem miedzami. W okolicy Kolonii Wileńskiej zapytałem chłopca, jak trafić na ul. Borową, gdzie przy lesie mieszkała wspomniana już znajoma rodzina Filipskich. Chłopiec wskazał mi kierunek, uprzedzając, abym nie natknął się na stanowisko artylerii sowieckiej i abym nie szedł ulicami, które były patrolowane przez Sowieców. Podziękowałem mu serdecznie i pokazałem mu spod płaszcza mój Nagan. Napewno była to lekkomyślność z mojej strony, ale chyba nie w takim miejscu, gdzie mieszkała patriotyczna ludność polska. Przechodząc przez granicę pastwisk, oznaczoną płotem z pojedynczego drutu kolczastego, zobaczyłem żołnierza sowieckiego idącego niedaleko. W tym momencie zacząłem się modlić. I znów moja modlitwa została wysłuchana. Nie zostałem przez niego zaczepiony. Dotarłem w końcu do lasu, skąd mogłem dojść na ul. Borową. W ogródku przy domu państwa Filipskich bawiło się ich dwóch chłopców /fot. 69/. Zapytałem ich ostrożnie, czy nie ma w domu jakichś "gości" ? Odpowiedzieli, że jest tylko mama, więc poprosiłem, by ją zawołała. Zaraz wzięła mnie do domu, a starszego syna wysłała po moją matkę, aby przy-

szyła z cywilnym ubraniem. Spotkanie z matką było radością i szczęściem. Dobrze się stało, że nie starałem się pójść prosto do naszego domu, bo drzwi mógł otworzyć pułkownik NKWD, który zamieszkał na piętrze. Moja matka miała dobre przeczucia i nikomu nie mówiła, że poszedłem do partyzantki, ale że wywieźli mnie Niemcy do kopania okopów pod Grodno i że dopiero po wyzwoleniu przez Armię Radziecką, pracy na wsi i dokarmianiu będę mógł wrócić do domu. To mnie uratowało od prześladowań z torturami włącznie, aresztowania i wywózki. Po powrocie do domu, matka przedstawiła mnie pułkownikowi NKWD, który nasze opowiadanie przyjął za miarodajne, a nawet wznosił toast za mój powrót. Po kilku miesiącach pułkownik NKWD wyprowadził się, a pokoje na piętrze ponownie zajęła rodzina komunistów i mieszkała tam aż do śmierci mojej matki t.j. do września 1974 r., płacąc grosze według stawek państwowych, chociaż mieszkanie to, jako spółdzielcze, nie zostało znacjonalizowane. Po moim powrocie, gdy mama położyła mnie do łóżka, spałem dwie doby bez przerwy, po kilkutydniowej bezsenności i napięciach nerwowych.

W tym czasie obowiązywał pobór mojego i innych roczników do wojska sowieckiego, względnie do Armii gen. Berlinga. Całe szczęście, że do naszej konspiracji dotarły puste blankiety kenkarte, dzięki czemu niektórzy mogli się postarzyć, a inni odmłodzić i uniknąć narazie problemów z poborem. Ja odmłodziłem się o dwa lata i w niedługim czasie otrzymałem dowód sowiecki z odmłodzonym wiekiem. Tego już nie zmieniłem aż do dnia dzisiejszego z różnych powodów /także dlatego, że chciałem mieć możliwość odwiedzania matki, a później jej grobu w Wilnie/.

W końcu września 1944 r. zaprzestałem swojej działalności konspiracyjnej, siedząc jak mysz pod miotłą. Rozpocząłem naukę w maturalnej klasie polskiego gimnazjum. Któregoś dnia odwiedził nas w domu "Mietek" /Mieczysław Pietraszun/, któremu oddałem ukrywany Nagar.

Nie zniszczenie wszystkich ksiąg meldunkowych spowodowało, że

niektórych, co zmienili swoje lata, aresztowano i zastosowano w stosunku do nich surowe kary przeważnie w formie wieloletnich zsyłek w różne strony ZSRR. Aresztowania i wywózki kolegów i znajomych w Wilnie coraz bardziej stawały się masowe. Na początku lutego wykładowca fizyki prof. Kowal namawiał do zapisania się do Komsomołu, bo inaczej istnieje groźba, że nie doczekamy się terminu zdawania egzaminów maturalnych. Te wszystkie powody zdecydowały o tym, że przerwałem naukę i w dniu 8 lutego 1945 r. wstąpiłem do Armii gen. Berlinga.

Przyjechałem transportem wojskowym do Warszawy do 1-go zapasowego pułku piechoty przy ul. Podchorążych, skąd 25 marca 1945 r. wysłałem list z życzeniami imieninowymi do matki do Wilna /zał. 6/. Już w czasie transportu z Wilna do grupy uczniów wileńskiego gimnazjum doczepił się podejrzany osobnik, który później okazał się szpiclem. Koledzy z naszego wileńskiego gimnazjum tak się podczas dobierania drużyn ustawili, że ostatecznie wszyscy znaleźliśmy się w jednej drużynie /jedni stawali na palcach, inni kucali/. Chcieliśmy wstąpić do lotnictwa, lecz nam odmówiono. Część kolegów miała ukryte pistolety, które pomagali im schować ci zawodowi podoficerowie, którzy nie byli komunistami. Przed samym przemundurowaniem większość kolegów powiedziała mi, że ucieka z powrotem do Wilna. Ucieczkę tę zauważono dopiero po kilkunastu godzinach i kazano wystąpić, kto ich znał, nie wystąpił nikt. Z-ca dowódcy pułku /Polak/ nie robił z tej ucieczki jakiegoś odrębnego śledztwa, ale następnego dnia po powrocie dowódcy pułku /Rosjanina/ szpicel nie poszedł na ćwiczenia, a ja zostałem aresztowany przez Wydział Informacji, kierowany przez Sowieców. Ich oficerowie nazwali mnie komendantem /chyba dlatego, że byłem w klasie maturalnej, a zbiegli koledzy byli z klas niższych/, ale bliższego śledztwa nie przeprowadzili. Wsadzili mnie do celi na 8 dni, po czym bez odczytywania uzasadnienia wyroku skazali mnie na miesiąc karnej kompanii. W karnej kompanii mimo 5-godzinnego snu

~~XXXXXXXXXXXXXXXX~~

/o 5-ej pobudka, o północy capstrzyk/ i bardzo ciężkich ćwiczeń, atmosfera była wspaniała, gdyż przeważała tu inteligencja i żołnierze AK. Oficerowie mieli prawo mieć zegarki, dzięki czemu jeden z nich uratował mój zegarek i dokumenty.

W drugiej połowie kwietnia, w zamkniętych wagonach towarowych, podwieziono nas w kierunku frontu na Berlin. Zachorowałem wtedy na krwawą dezynterię i na każdym postoju pociągu biegałem za potrzebą. Często nie mogłem zdążyć. W wagonach spało po kilkadziesiąt osób i nie było kibla. Raz musiałem się załatwić do czapki, którą wyrzuciłem przez okienko. Na szczęście na jakiejś stacji zobaczyłem cywila w wojskowej czapce, więc mu ją odebrałem. Idąc już pieszo w stronę Berlina mijaliśmy wiele trupów żołnierzy niemieckich /uznano, że obowiązek ich chowania należał do ludności niemieckiej/. Gdy wchodziliśmy do Berlina strzały były coraz rzadsze. Berlin kapitulował. Potem oczyszczaliśmy tereny z resztek wojsk niemieckich na zachód od Berlina. Tam zastał nas dzień kapitulacji Niemiec i koniec wojny w Europie 8/9 maja 1945 roku. Będąc w kompanii karnej, jeszcze nie amnestionowani, nie cieszyliśmy się zbytnio z tego, czego dowodem jest załączony mój list do matki w Wilnie z 29 maja 1945 r /zał. 7/. Ponieważ za datę zakończenia II-ej wojny światowej uważam datę kapitulacji Japonii, podaję jeszcze historię mego losu do końca sierpnia 1945 roku.

6 czerwca 1945 r., po amnestii, zostałem przydzielony do 6-go pułku piechoty, z którym w lipcu wróciliśmy do kraju. Przedtem, pod koniec czerwca stwierdzono u mnie malarię i skierowano do szpitala w Weiswasser, gdzie miałem dobrą opiekę lekarską i odpocząłem.

Po powrocie do kraju pracowaliśmy przy sianokosach koło Piły, a potem przy żniwach nad jeziorem Gopło. Prace te wykonywali jednak tylko szeregowcy, bo już kaprał nie musiał pracować, a tylko rozkazywał, a oficerów wogóle w polu nie było. W czasie przerw od pracy, żołnierze wypominali mi, że jestem synem przedwojennego oficera,

dokuczali mi, a nawet czasem obrzucali mnie kartoflami.

Lata powojenne /w tym studenckie/ do 1951 r.

We wrześniu 1945 r. pojechaliśmy do pułku zapasowego w Częstochowie, gdzie dowiedziałem się o rozkazie marszałka Roli-Żymierskiego według którego uczniowie klas maturalnych, którzy nie skończyli nauki, mogą być zwolnieni do cywila. Natychmiast złożyłem taki wniosek, lecz zanim otrzymałem odpowiedź, z premedytacją zostałem skierowany do Szkoły Podoficerów Sanitarnych w Bydgoszczy. Odpowiedzi na mój wniosek nie otrzymałem. W szkole tej dostawałem co miesięczny żołd wynoszący 45 zł. Gdy na pobliskim rynku kupiłem za 30 zł okrągły bochenek świeżego chleba, to potrafiłem go zjeść między obiadem a kolacją. Załączam fot. 70 i 71. W styczniu 1946 r. dostałem kilkudniowy urlop wypoczynkowy i udałem się do Warszawy, gdzie byłem goszczony przez państwa Krukowskich, mieszkających czasowo w Domu Akademickim na placu Narutowicza, gdzie inż. Krukowski, ojciec mego przyjaciela Tadeusza, posiadał mieszkanie służbowe jako dyrektor PKS. Tadeusz obiecał mi, że tak jak się mu udało uratować mnie od utonięcia przy moście Strategicznym w Wilnie, tak uda mu się wydosłać mnie z wojska do cywila, co się w pełni sprawdziło. Udaliśmy się razem z Tadeuszem do Ministerstwa Obrony Narodowej przy alei Niepodległości. Weszliśmy do Departamentu Poboru i Uzupełnień z prośbą o zwolnienie mnie do cywila na podstawie w/w rozkazu marszałka Roli-Żymierskiego. Pułkownik zareagował stwierdzając, że takiego rozkazu nie było i nie ma, a ja jako szeregowiec nie mógłbym dyskutować z pułkownikiem. Wówczas Tadeusz podał dane, że jego tacy i tacy koledzy studiują już na Politechnice zwolnieni do cywila na podstawie w/w rozkazu marszałka. Dopiero teraz pułkownik zaczął przeglądać zarządzenia i znalazł taki rozkaz. Do zwolnienia zarządał ode mnie dwóch trudnych do spełnienia warunków: 1/ że jestem aktualnie uczniem klasy maturalnej, 2/ że ktoś zapewni mi

utrzymanie. Dla uzyskania odpowiedniego zaświadczenia /ad 1/ udaliśmy się z Tadeuszem do Dyrektora Liceum im. Księcia Józefa Poniatowskiego na Żoliborzu. Bardzo sympatyczny dyrektor tego liceum zapytał, jak on może wydać zaświadczenie, że jestem uczniem jego klasy maturalnej, skoro jestem w wojsku. Ja na to odpowiedziałem, że nie zwolnię mnie z wojska, dopóki takiego zaświadczenia nie dostanę. Po tej dyskusji i sprawdzeniu moich świadectw szkolnych z Wilna, dyrektor liceum wydał mi odpowiednie zaświadczenie. Oświadczenie o zapewnieniu mi pełnego utrzymania /ad 2/ napisała siostra przyrodnia Germaine, mieszkająca w Miedzeszynie pod Warszawą u naszej dalszej krewnej Róży Alexandrowicz. Odpowiednie podanie z dwoma w/w załącznikami złożyliśmy pułkownikowi w MON, który obiecał, że w ciągu 2 tygodni zwolnienie do cywila dostanę i rzeczywiście taką decyzję dostałem. Dowódca kompanii wydał mi charakterystykę /zał. 8/ i poinformował, że papiery moje na wyjazd będą gotowe jutro, więc dopiero wtedy będę mógł pojechać do Warszawy. Skorzystałem z posiłków i z noclegu w koszarach. W zbiórce na modlitwę oczywiście wziąłem udział. W godzinach popołudniowych, po otrzymaniu 4 miesięcznego żołdu t.j. 180 zł /4x45 zł/, bezpłatnego biletu na pociąg i odpowiedniego rozkazu o zwolnieniu do cywila, mogłem udać się w podróż do Warszawy. Z Bydgoszczy dojechałem pociągiem do Kutna, gdzie na przesiadkę do Warszawy musiałbym czekać 4 godziny i należałoby poczekać. Ale ja naiwny uwierzyłem, że gdy wsiądę do tranzytowego pociągu sowieckiego Berlin-Moskwa, to mnie sojusznicy wpuszczą do środka i gdy ten pociąg trochę przyhamował, wskoczyłem na pomost-bufor między wagonami osobowymi. Przez okienko widać było sowieckich oficerów i ich rodziny wygodnie rozlokowanych w wagonach. Oczywiście wszyscy byli w przedziałach, na korytarzu wagonu pustki. Jest około godz. 9-tej wieczorem, luty, zimno, ja w lichym palcie wojskowym, w damskich rękawiczkach znalezionych gdzieś w Berlinie. W pewnym momencie na korytarzu zbliżył się do okienka, przez które mogłem mnie zobaczyć, oficer sowiecki.

Poprosiłem, żeby otworzył drzwi, bo tu ja zamarznię. Otrzymałem odpowiedź "Niet, eto nielzia, etot pojezd tranzitnyj i nam nielzia otkrywać polskom wojennom", gdyż zobaczył mnie w mundurze szeregowca polskiego. Podobnie gdy ktoś inny zbliżył się do mnie, nie było żadnego współczucia, a tylko jednoznaczna odpowiedź nie licząca się z jakąkolwiek nawet niecodzienną sytuacją, jak ta, gdy pociąg z szybkością prawie 100 km/godz nigdzie się nie zatrzymuje, a na buforze między wagonami stoi człowiek w niebezpieczeństwie. Wytrzymałem jednak około 4 godzin na tym zimnie i nie upadłem ani nie zamarłem. Zawdzięczam to jedynie Opatrzności Boskiej. Pociąg na parę sekund czy minut zatrzymał się na stacji Warszawa Gdańska i gdybym znał Warszawę, to bym wysiadł na tej stacji, bo w pobliżu miałem adres stryjenki zamieszkałej przy ul. Wieniawskiego 9 m 1 na Żoliborzu. Warszawy niestety nie znałem, a poza tym myślałem, że następną stacją będzie Warszawa Główna. Tak się jednak nie stało, pociąg przejechał most nad Wisłą, a więc wjechał na Pragę. Gdy w pewnym momencie pociąg zwolnił, wyskoczyłem z niego i zacząłem iść w kierunku oświetlonej z daleka zabudowanej części Pragi. Na jakiejś ulicy jechała pusta dorożka, więc zapytałem, ile będzie kosztować przejazd do placu Narutowicza. "Górala" odpowiedział dorożkarz. Ponieważ nie wiedziałem, co oznacza słowo "góral", dorożkarz wytłumaczył mi, że oznacza to 500 zł, a ja miałem tylko 180 zł /4-miesięczny żołd/, więc nie reflektowałem na jazdę za tę cenę. W końcu dorożkarz ten za darmo przewiózł mnie do mostu pontonowego nad Wisłą. Po przejściu na drugą stronę rzeki zapytałem przechodniów, jak trafić na plac Narutowicza i gdy już trafiłem na Aleje Jerozolimskie, droga była łatwa, gdyż należało iść obok szyn tramwajowych 9-tki, która już o tej nocnej porze nie kursowała. Po zadzwonieniu do znanych mi drzwi mieszkania państwa Krukowskich, zdziwiony zauważyłem, że w ich mieszkaniu pali się światło, chociaż było to o 2-iej w nocy. Drzwi otworzył Tadeusz, mój dwukrotny wybawca, który w tym czasie kreślił na desce zadanie z geometrii wykreślnej, gdyż już

studiował na Politechnice Warszawskiej. Wkrótce obudziła się pani dr Krukowska, która zainteresowana moim mizernym wyglądem, położyła mnie do łóżka i leczyła intensywnie, bo ja na tydzień straciłem głos, gdyż tak byłem przemarznięty i przeziębiony. Przysłowie do trzech razy sztuka sprawdziło się na Tadeuszu, który znowu mnie wybawił z kłopotów nauki, noclegów i utrzymania, gdyż chodził ze mną wszędzie, aby pozytywnie wszystko załatwić, mówił za mnie, gdyż nie odzyskałem jeszcze głosu. Ale widać było wyraźną, stopniową poprawę w zdrowiu, bo gdy już wszystko miałem załatwione pozytywnie, głos mój powrócił do normy i moja dotychczasowa wiedza nie została zmarnowana, a dawała mi największe szanse do rozpoczęcia studiów na Politechnice Warszawskiej. A było to takie rozumowanie. Ukończenie klasy maturalnej w Liceum im. Księcia Józefa Poniatowskiego byłoby dla mnie po moich przejściach wojskowych i przy mizernym zdrowiu praktycznie niemożliwe. Nie mógłbym bowiem w ciągu 2,5 miesięcy t.j. do terminu zdawania matury nadrobić tylu zaległości, nawet gdybym nie wiem jak się wysilał. Ponadto kto zapewnił by mi utrzymanie, bo noclegi mogłaby mi zapewnić stryjenka, w tym małym pokoju, w którym sama mieszkała, ale ona ciągle przeżywała jeszcze niepotwierdzoną śmierć swego jedynego syna Jerzego w czasie Powstania Warszawskiego i żyła w skrajnej nędzy. Również Germaine nie miała pracy i żyła w nędzy. Optymalnym dla mnie rozwiązaniem byłoby dostać się na kurs wstępny Szkoły Inżynierskiej im. Wawelberga i Rotwanda, gdzie były jeszcze wolne miejsca na kursie i w bursie, dzięki czemu można było uczyć się i nocować na miejscu. Poza tym w przyszłości były możliwości zmiany studiów na kierunkach technicznych, w tym również zmiany uczelni. Przyjąłem rozwiązanie optymalne i rozpocząłem naukę na kursie wstępnym w/w szkoły inżynierskiej /zał. 8,9/. Świadectwo ukończenia kursu stanowi załącznik 10. Po ukończeniu kursu wstępnego zostałem przyjęty na Wydział Elektryczny tej szkoły /zał. 11/. Jednocześnie w końcu września 1946 r, po zdaniu egzaminu wstępnego



zostałem przyjęty na Wydział Geodezji Politechniki Warszawskiej /zał.12/.

Jeszcze jako student zawarłem związek małżeński w Urzędzie Stanu Cywilnego Warszawa-Wola w dniu 28 czerwca 1950 r. ze studentką Akademii Medycznej Teresą Barbarą Jeż /zał.13/. Nasz ślub kościelny odbył się w dniu 12 sierpnia 1950 r. w Rzymsko-katolickiej parafii św. Krzyża w Warszawie /zał.14/. Ślubu udzielił nam wujek /brat matki/ Teresy Barbary - ksiądz prof.dr Stefan Biskupski.

Moja małżonka Teresa Barbara urodziła się i mieszkała do matury w Piotrkowie Trybunalskim. W okresie okupacji oprócz nauki na tajnych kompletach, chcąc pomóc rodzicom w czteroosobowej rodzinie /oprócz niej była jeszcze na utrzymaniu jej młodsza siostra/, pracowała w sklepie spożywczym, w którym ukrywała między innymi broń żołnierzy podziemia Armii Krajowej. Studia rozpoczęła w 1946 r. w Warszawie na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Medycznym, który to wydział został potem przekształcony na Akademię Medyczną. W dniu 22 lutego 1951 r. otrzymała dyplom lekarza dentysty /zał.15/, a ja egzamin dyplomowy zdałem w dniu 19 marca 1951 r. uzyskując stopień inżyniera geodety i magistra nauk technicznych /dyplom - zał.16/.

Z czasów studenckich zostały mi fotografie z ćwiczeń polowych geodezji na I roku studiów /fot.72,73,74/, z pomiarów astronomicznych na II roku studiów /fot.75,76,77,78/, z ćwiczeń polowych z geodezji na II roku studiów /fot.79,80,81/, z pomiarów odkształceń kościoła św. Anny w Warszawie, który pękał przy wykopie trasy W-Z w 1949/1950 r /fot.82,83,84/.

#### Wyjazdy na narty

Gdy zimy były śnieżne i mroźne, jak do roku 1945 w Wilnie, nie musiałem nigdzie wyjeżdżać ze swego miasta rodzinnego, aby pojeździć sobie na nartach, które to wędrówki i zjazdy na nartach uwielbiałem. Po przyjeździe do Warszawy i ociepleniu się klimatu, o jazdach na

nartach można było tylko myśleć wyjeżdżając w góry. Pierwszy taki wyjazd nadarzył mi się w drugiej połowie grudnia 1947 r do Szklarskiej Poręby, gdzie w tym czasie Politechnika Warszawska miała tam 5 domów wypoczynkowych. Dostaliśmy miejsca w największym domu. Gdy wyjeżdżaliśmy z Warszawy, a było to 16 grudnia, ludzie śmiali się, że wyjeżdżamy z nartami, bo na takie deszcze lepsze byłyby kajaki. Mamy nam zupełnie przedkły, gdy w Jeleniej Górze pogoda była taka sama deszczowa, jak w Warszawie. Ale gdy pociąg przekroczył granicę jeleniej Góry, zabielało, a w Szklarskiej Porębie leżała już 1 metrowa warstwa śniegu. Gdy po 3 dniach zatelefonowano do nas, czy ktoś z nas chce wziąć udział w biegu narciarskim mężczyzn na 12 km i kobiet na 8 km, troje z nas zgłosiło się, gdyż za zmieszczenie się w limicie czasu obiecano nam przyznać odznaki za sprawność narciarską kategorii seniorów stopnia brązowego Polskiego Związku Narciarskiego /zał.17/. Zgłosiło się nas 2-ch kolegów z Wydziału Geodezji /fot.85, 86/ oraz jedna koleżanka z Wydziału Architektury, którą zdyskwalifikowali sędziowie za skorzystanie z jadących po trasie sanń góralskich. Urozmaiceniem były zjazdy i wycieczki w towarzystwie przystojnych studentek /fot.87,88,89,90/ i siostry przyrodniej /fot.91/. Moje sukcesy i kol.Klemensa Tarnowskiego zachęciły, że zapisaliśmy się do AZS sekcji narciarskiej i wyjechalismy na następny sezon 1948/49 r do Zakopanego. Niestety nie dostaliśmy nowego sprzętu i dalsze sukcesy skończyły się /fot.92,93/.

Po zawarciu małżeństwa coraz rzadziej wyjeżdżałem na narty i nie nauczyłem się dobrze robić nawet krystianii oporowej /fot.94/. Jeszcze w sezonie 1951 r. będąc w Bukowinie Tatrzańskiej zdobyłem górską odznakę narciarską PTTK w stopniu brązowym.

Ostatni raz z młodszym synem byłem na nartach w zimie 1979/1980 r. w Bukowinie Tatrzańskiej. ~~Najeżdżaliśmy się tam dużo z góry na dół, korzystając z jazdy w górę wyciągiem i od tego czasu nie byliśmy już więcej ani razu na nartach, a szkoda~~ *poprawiliśmy technikę swojej jazdy na nartach.*

nartach można było tylko myśleć wyjeżdżając w góry. Pierwszy taki wyjazd nadarzył mi się w drugiej połowie grudnia 1947 r do Szklarskiej Poręby, gdzie w tym czasie Politechnika Warszawska miała tam 5 domów wycieczkowych. Dostaliśmy miejsca w największym domu. Gdy wyjeżdżaliśmy z Warszawy, a było to 16 grudnia, ludzie śmiali się, że wyjeżdżamy z nartami, bo na takie deszcze lepsze byłyby kajaki. Miny nam zupełnie zrzędy, gdy w Jeleniej Górze pogoda była taka sama deszczowa, jak w Warszawie. Ale gdy pociąg przekroczył granice jeleniej Góry, zabielało, a w Szklarskiej Porębie leżała już 1 metrowa warstwa śniegu. Gdy po 3 dniach zatelefonowano do nas, czy ktoś z nas chce wziąć udział w biegu narciarskim mężczyzn na 12 km i kobiet na 8 km, troje z nas zgłosiło się, gdyż za zmieszczenie się w limicie czasu obiecano nam przyznać odznaki za sprawność narciarską kategorii seniorów stopnia brązowego Polskiego Związku Narciarskiego /zał.17/. Zgłosiło się nas 2-ch kolegów z Wydziału Geodezji /fot.85, 86/ oraz jedna koleżanka z Wydziału Architektury, którą zdyskwalifikowali sędziowie za skorzystanie z jadących po trasie sań góralskich. Urozmaiceniem były zjazdy i wycieczki w towarzystwie przystojnych studentek /fot.87,88,89,90/ i siostry przyrodniej /fot.91/. Moje sukcesy i kol.Klemensa Tarnowskiego zachęciły, że zapisaliśmy się do AZS sekcji narciarskiej i wyjechaliśmy na następny sezon 1948/49 r do Zakopanego. Niestety nie dostaliśmy nowego sprzętu i dalsze sukcesy skończyły się /fot.92,93/.

Po zawarciu małżeństwa coraz rzadziej wyjeżdżałem na narty i nie nauczyłem się dobrze robić nawet krystiani oporowej /fot.94/. Jeszcze w sezonie 1951 r. będąc w Bukowinie Tatrzańskiej zdobyłem górską odznakę narciarską PTTK w stopniu brązowym.

Ostatni raz z młodszym synem byłem na nartach w zimie 1979/1980 r. w Bukowinie Tatrzańskiej. Najeździliśmy się tam dużo z góry na dół, korzystając z jazdy w górę wyciągiem i od tego czasu nie byliśmy już więcej ani razu na nartach, a szkoda.

Innym moim hobby był brydż, w którego grałem, oprócz okupacji, po wojnie w zasadzie tylko w okresach zimowych, po jeździe na nartach, względnie w delegacjach służbowych. Moja małżonka nie lubiła moich zamiłowań, bo z jednej strony była bardzo zapracowana, pracując ciężko zawodowo, prowadząc dom i wychowując w zasadzie bez żadnej pomocy dwóch synów, moja pomoc była więc potrzebna i nie było argumentów na przyjemności jednej strony kosztem zdrowia drugiego małżonka.

#### Kontakty i wydarzenia rodzinne

Mój rodzony brat Rajmund po przejściach przez obozy koncentracyjne, pracach w kamieniołomach i innych szkodliwych dla zdrowia pracach na obszarze Rzeszy Niemieckiej, po wyzwoleniu przez zachodnich aliantów /fot.95,96/ był przez 1,5 roku leczony na gruźlicę, po czym wyemigrował do Australii, gdzie chociaż ciężko pracował fizycznie, doczekał się tego, że mimo przeszło 70 lat, żyje dzięki klimatowi australijskiemu dobremu dla chorych na gruźlicę, gdzie został w zasadzie całkowicie wyleczony. Z różnych względów nie dorobił się prawie niczego, tak że na podróż, by odwiedzić groby naszych ś.p. rodziców, która kosztowała go 3 tys. dolarów, musiał pożyczyć połowę pieniędzy od swojego przyrodniego rodzeństwa. Po 32 latach od śmierci naszego ś.p. ojca, odwiedził jego grób w Londynie i przyleciał do mnie do Warszawy, po 49 latach nie widzenia się ze mną, w dniu 16 lipca 1992 r. Ja zorganizowałem mu lot ze mną do Wilna na 18 lipca i powrót również samolotem w dniu 19 lipca, tak że mógł ze mną odwiedzić w Wilnie jedynie grób pochowanej tam naszej matki /fot.97/. Dnia 20 lipca rano brat musiał odlecieć do Londynu i stamtąd do Australii, skąd już napisał do mnie list datowany 31 lipca 1992 r., po 12 latach milczenia /bo pogniewał się na mnie za różne intrygi spowodowane przez osoby trzecie/ i poradził mi, że bym jak najprędzej poddał się operacji prostaty, co też uczyniłem, bo on widział jak ja cierpiełem przed

tą operacją. W tych dniach /jestem świeżo po operacji/ napiszę do niego dłuższy list. Nasze spotkanie po 49 latach niewidzenia się, otworzyło mu oczy na naszą rzeczywistość, bo dotychczas swoje informacje opierał na osobach trzecich, które okazały się niegodne zaufania

Najczęstsze kontakty utrzymywałem z moją matką, którą mogłem odwiedzać od 1956 r. Ja pierwszy raz po wojnie odwiedziłem matkę na wiosnę 1956 r /fot. 98, 99, 100/, a mama mnie odwiedziła w lipcu-sierpniu tego roku /fot. 101, 102, 103, 104, 105, 106/. Zobaczyła jak my żyjemy i zrezygnowała z repatriacji, bo tam w Wilnie w nieznacjonalizowanym naszym segmencie budynku spółdzielczego czuła się do końca życia panią swego domu, z którego w zasadzie mogła się utrzymać na niezłym poziomie. Trudno byłoby sobie wyobrazić, by wychowując czworo dzieci i nie mając wyuczonego zawodu, matka w wieku 50 lat i w dodatku schorowana mogła pójść do normalnej ciężkiej pracy. Robiła trochę robótek ręcznych na drutach i szydełku, ale raczej dla przyjemności niż dla korzyści materialnych. Na parterze w saloniku zamieszkała bardzo porządnie rodzina litewska. On jako dziennikarz i dyplomata ciągle wyjeżdżał za granicę, aż doszedł w 1979 r. do funkcji konsula ZSRR w Krakowie /fot. 107/. Jego żona, spikerka radiowa /fot. 108, 109, 110, 111, 112/ często wyjeżdżała do męża za granicę. Wychowaniem ich syna Evaldasa /fot. 113/ zajęła się moja mama. Został on bardzo dobrze wychowany, za co jego rodzice byli mojej mamie nie tylko bardzo wdzięczni, ale traktowali ją jako członka najbliższej rodziny i na każdą pomoc z ich strony mogła liczyć, aż do śmierci. A po jej śmierci, ja byłem zawsze goszczony przez nich jako syn mojej mamy i najlepszy przyjaciel. Nawet teraz, gdy są oni na emeryturze i wyjechali na wieś, Evaldas przyjął mnie i Rajmunda na tę niecałą dobę pobytu w Wilnie z otwartym sercem i najlepszą gościnnością.

W 1959 r. w czasie mego pobytu w Wilnie u matki, nie pytając nikogo, postanowiliśmy odwiedzić matki najstarszą siostrę Annę i jej rodzinę, zamieszkałą stale na Łotwie /fot. 114, 115, 116, 117, 118, 119, 120/

W czasie naszego tygodniowego pobytu na Łotwie odwiedził nasze mieszkanie milicjant, który wrywkowo sprawdzał obecność zaproszonego cudzoziemca /czyli mnie/. Gdyby lokatorzy powiedzieli, że poszedł do miasta, na tym by się chyba skończyło. Ale oni odpowiedzieli, że my z matką pojechaliśmy na Łotwę. Po naszym powrocie przyszedł znowu, zapytał się o mnie i usiadł nie zdjęwszy czapki w pokoju mamy pod obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Zaczął mnie wypytywać, kto dał mi zezwolenie na wyjazd do Łotwy. Odpowiedziałem, że nikogo o to nie pytałem. Wówczas przypomniał, że podpisałem przy rejestracji maczkiem napisane gdzieś zdanie, że będę przestrzegał przepisy ZSRR. Nikt mnie natomiast przy rejestracji w budynku przy alei Stalina /dawnej ul. Mickiewicza/, a odpowiedniku naszego Pałacu Mostowskich, gdzie każdy cudzoziemiec ma obowiązek w ciągu 48 godzin od przekroczenia granicy zarejestrować się, nie uprzedził ~~gdyż~~ nigdzie nie można wyjeżdżać. /W tym czasie Polacy jeździli, wprawdzie nielegalnie, po całym ZSRR, ale nikt się ich nie czepiał, chociaż np. handlowali w Leningradzie czy Moskwie. Mnie również przed wyjazdem na Łotwę udało się zwiedzić przez dwa dni Moskwę, z tym że ja mając na daną datę bilet powrotny, przenocowałem siedząc na Dworcu Białoruskim, z którego pociąg miał odejść do Wilna i nawet po wylegitymowaniu mnie na tym dworcu nie przyczepili się do mnie, gdyż czekałem na swój pociąg, na który miałem wykupiony bilet/.

Po tym wyjaśnieniu oświadczyłem, że teraz wiem i nie będę już bez zezwolenia wyjeżdżać. Za karę uniemożliwiono mi odwiedzania mamy przez 4 lata i dopiero pojechałem w 1963 r., a 3 lata później razem ze starszym synem Krzysztofem /fot. 121, 122, 123, 124/, który nakręcił na 8 mm radzieckiej amatorskiej kamerze filmowej piękny film z Wilna. W latach późniejszych jeździłem do matki do Wilna na coraz krótsze pobyty, ale mieliśmy z żoną podwójne znowu obowiązki, gdyż w 1966 r. urodził się nam po 15 latach przerwy następny syn Tomasz i na nowo zaczęło się od pieluszek i innych czynności, które

już w naszym nienajmłodszym wieku dało nam się porządnie we znaki.

Mama moja mimo tego, że była bardzo tęga, chorowała na serce, miała operację jaskry i zaćmy w oczach, miała cukrzycę /coprawda w późnym wieku/ i wrzody żołądka, lubiła chodzić ze mną na dosyć długie spacer, nie tylko pod górę ulicą Holendernia i np. zakręt w lewo, gdzie zamiast zlikwidowanego cmentarza żydowskiego, powstał park spacerowy i wypoczynkowy. Lub np. zakręt w prawo przy Górze Stołowej i spacer aż do Góry Trzykrzyskiej, na której wtedy już 3 krzyży nie było.

Często chodziliśmy też na Cmentarz Wojskowy, gdzie była pochowana w 1924 r. ś.p. Anna Alexandrowicz matka mego ojca. Mama mówiła mi, że chciałaby w przyszłości być tam pochowana, co zostało później przeze mnie spełnione. Chodziliśmy też lub jeździliśmy trolejbusami do nowych dzielnic miasta. Nowe osiedla mieszkaniowe powstawały daleko od centrum i powierzchnia Wilna była kilkakrotnie większa od powierzchni Warszawy. Taka rozbudowa wymagała ogromnych środków finansowych, jak i dużego uzbrojenia terenu i znacznej długości linii komunikacyjnych oraz budowy nowych mostów, których w sumie w Wilnie jest więcej niż w Warszawie.

Nie konserwowano natomiast przez dziesięciolecia starówki Wilna, która jest kilkakrotnie większa od starówki w Warszawie. Gdy zaczęto remontować niektóre kamienice starówki i porządkować stare uliczki, z początku ładnie to wyglądało, ale już po kilku latach wyłaził grzyb na tych odnowionych obecnie budynkach, lecz zaniedbywanych przez tyle lat.

Nie wiem czy za sto lat uda się Litwinom uratować i odrestaurować starówkę tego pięknego miasta.

Nigdy bym Wilna nie opuścił, gdyby nie wojna, która rozbiła naszą 6-cio osobową rodzinę i zmieniła granice państw. Gdyby Polaka - Wilnianina zapytać, co by zrobił, żeby Wilno wróciło do Polski, odpowiedziałby, że w podzięce za to poszedłby na kolanach całą drogę, by podziękować za to Matce Boskiej Ostrobramskiej.

W ostatnich latach mama czuła się coraz gorzej, nie mogła chodzić na dłuższe spacery, kilka razy była w szpitalach leczona to na oczy, to na serce, to na wrzody żołądka. Ostatnio przyjęła nawet do swego pokoju opiekunkę, lecz opieka ta nie była pełną, gdyż ona ją spełniała dopiero po powrocie ze swoich zajęć, gdyż pracowała na pełnym etacie, a ponadto nie była pielęgniarką. Ale była to jednak pomoc niezbędna, gdyż wrzody żołądka coraz bardziej mamie dokuczały /i trzeba było często zmieniać pościel/, na co nie zwrócił uwagi dochodzący prywatnie lekarz domowy, który leczył matkę tylko na serce /za każdą wizytę mama dawała mu 5 rubli/.

Gdy na początku września 1974 r. przyjechałem do mamy, to już nie wstawała z łóżka i była przygotowana na pójście do szpitala na operację, tylko nie chciała być skierowana do szpitala przy ul. Subocz, znanego jako "wykańczalnia". Gdy wezwane przez nas pogotowie chciało zabrać mamę do szpitala na ul. Subocz, mama odmówiła i poprosiła, żeby zawieźć ją do polikliniki na Antokolu, gdzie był szpital na wysokim poziomie i gdzie aktualnie leżała przyjaciółka mamy Litwinka Ludvika Tryponajtė. Pogotowie w końcu się zgodziło i rozpoczęła się tam operacja w nocy z 17/18 września 1974 r. choroby wrzodowej żołądka. Operacja na skutek cukrzycy i niewydolności krążenia i serca zakończyła się śmiercią w godzinach rannych dnia 18 września 1974 r.

Po tygodniu od śmierci mamy wstąpił do mieszkania prywatny lekarz domowy i był zdziwiony, że nie zastał matki w pokoju, ale dowiedział się od nas, że mama już nie żyje. Mama umarła w wieku 79 lat. Dzięki znajomości konsula ZSRR w Krakowie Mikolasa Jackievičiusia moja żona dostała natychmiast wizę na wyjazd do Wilna. Przyjechała do Wilna i pomogła mi organizować pogrzeb mamy, likwidować zbędne przedmioty, porządkować dokumenty, pamiątki i fotografie oraz osobiste drobiazgi w mieszkaniu.

W Wilnie był ustalony porządek, że na pogrzeb katolicki ksiądz



Jedzie tylko z domu lub kostnicy na cmentarz, natomiast trumna z ciałem nie może przebywać nawet pół godziny w kościele, więc msza święta żałobna odbywa się oddzielnie, przeważnie na drugi dzień po pogrzebie, co też i miało miejsce w naszym przypadku. Do autokaru, w którym jedzie trumna na cmentarz, wsiadł ksiądz, rodzina zmarłej oraz niektórzy znajomi mamy, którzy przy okazji sarkali na to, że pogrzeb rozpoczął się od kostnicy przy szpitalu, a nie od mieszkania, w którym ciało mamy powinno przynajmniej jeden dzień poleżeć, aby następnie z domu rozpoczął się pogrzeb. Odpowiedziałem, że nie mieszkalem stale z mamą i nie miałem warunków do zorganizowania czuwania przy zmarłej, urządzania stypy i przyjmowania obcych ludzi w ciasnym pokoju mamy.

W czasie pogrzebu już na cmentarzu przed położeniem trumny do grobu, usłyszałem okrzyk obcych ludzi "otworzyć trumnę, chcemy zobaczyć nieboszczkę". Na zwróconą przez moją żonę uwagę, że chyba o tym decyduje rodzina, krzyknięto jeszcze głośniejsze "otworzyć trumnę". Gdy grabarze otwierali trumnę, zamknąłem oczy, żeby nie pamiętać obrazu mamy w trumnie, lecz zapamiętać taką, jaką widziałem ją po operacji w sali reanimacyjnej po północy, gdy jeszcze mama nie umarła i jak usłyszała mój głos, to się uśmiechnęła, lecz już sama nic powiedzieć nie mogła. I taką twarz zapamiętałem do dziś, jaką mama miała parę godzin przed śmiercią.

Msza Święta zamówiona przeze mnie w kościele św. Piotra i Pawła była bardzo uroczysta, ze śpiewającym chórem polskim, lecz mimo telefonicznych moich zaproszeń szeregu przyjaciółek i znajomych mamy, bardzo mało było ludzi w kościele. Prawdopodobnie dlatego, że nie urządziłem stypy.

W następnych dwóch latach, kosztem wyczerpania nerwowego, zgodnie z testamentem mamy i obowiązującymi przepisami, załatwiłem sprzedaż naszego mieszkania w Wilnie w 4-ech częściach, bo obecnie tam można na własność kupić nieruchomość o powierzchni użytkowej do 60 m<sup>2</sup>,

a przy 213 m<sup>2</sup> trzeba było znaleźć czterech kupców i za drogo nie można było sprzedać, gdyż we wszystkich pokojach mieszkali lokatorzy, więc poszczególne części mieszkania trzeba było sprzedawać wraz z lokatorami. Najwięcej strat materialnych przy sprzedaży poniosłem od Litwinów, którzy umawiali się ze mną, ja wówczas rezygnowałem z innych kupców i zostawałem "na lodzie". Nie życzę nikomu tych przeżyć i napięć, których doznałem przy tych czynnościach. Wróciłem do Warszawy kompletnie nerwowo wyczerpany. W załącznikach 19 i 20 podaję dwa z moich ogłoszeń w prasie wileńskiej o sprzedaży naszej nieruchomości. 6 tygodni pobytu w Wilnie w pierwszym roku sprzedaży i 2 tygodnie pobytu w następnym roku sprzedaży, które zamiast urlopów wypoczynkowych poświęciłem na te sprawy, wpłynęły niekorzystnie na mój stan nerwowy i zdrowotny. Na drugi dzień po pogrzebie stryjenki /30 XI 1976/ zasłabłem i omdlałem w kościele, skąd pogotowie wzięło mnie do szpitala. Na szczęście była to tylko ciężka nerwica, którą musiałem leczyć. Za cały dom w Wilnie z lokatorami, którzy zostali po śmierci mamy, nie można było uzyskać kwoty większej, niż kosztowałyby bilet lotniczy do Australii i z powrotem.

W 1989 r. na wzięcie pojechaliśmy z małżonką na tydzień do Wilna, gdzie mieszkaliśmy na ul. Derewnickiej przy rynku Kalwaryjskim u Evaldasa, który w tym czasie nocował u matki-pani Ludviki. Były bardzo duże upały, ale w ogrodzie Bernardyńskim nad Wilenką było chłodno, więc tam przesiadywaliśmy i można tam było wypić herbatę, zjeść parówki i sałodycze. Z pobytu tego mamy fot. 125, 126, 127, 128, 129. Byliśmy również na grobie mojej mamy i babki /fot. 97/.

W 1990 r. na wzięcie pojechałem na tydzień do Wilna, gdzie również zamieszkałem u Evaldasa. Tym razem oficjalnie mogłem zwiedzić Kowno i Troki, z których zrobiłem slajdy i filmy 8 mm. Również odwiedziłem grób ś.p. Mamy i babki oraz szczegółowo obszedłem polskie groby na cmentarzu Rossa według książki Jana Ciechanowicza, Bogumiły Kosman i Marcelego Kosman "Na Wileńskiej Rossie" wydanej w Boznaniu przez

Krajową Agencję Wydawniczą w 1990 r.

Ostatni raz byłem w Wilnie z bratem Rajmundem, ale tylko na grobie ś.p. mamy i babki wieczorem w dniu 18 lipca 1992 r. i po przenocowaniu u Evaldasa, nazajutrz rano wróciliśmy do Warszawy, gdyż następnego dnia brat musiał odlecieć z powrotem do Australii.

W listopadzie 1957 r. dostałem od ojca zaproszenie na odwiedzenie go w Londynie, gdyż ma on już 70 lat, z podkreśleniem, że nie wiadomo, czy się jeszcze w życiu zobaczymy. O zdobycie paszportu w tym czasie było bardzo trudno. Z początku dostałem odmowę, a po całonocnym staniu do biura paszportów otrzymałem obietnicę dyrektora tego biura, że dostanę paszport, jeśli prezes GUGiK wystawi mi zaświadczenie, że się na mój wyjazd zgodzi. Prezes B. Szmielw, zamiast takiego zaświadczenia napisał, że pracuję przy sprawach tajnych. Wówczas dyrektor biura paszportów powiedział mi, że takie zaświadczenie nie może pomóc przy wydaniu paszportu i że prezes GUGiK musi sam podjąć decyzję zgody lub nie na ten wyjazd. Prezes Szmielw znowu zaczął się wykręcać, więc powiedziałem, że udaję się do Ministra Spraw Wewnętrznych na skargę, że prezes GUGiK, którego urząd podlega MSW, chce mi odmówić możliwości zobaczenia 70-letniego ojca, którego mogę już nigdy nie zobaczyć. I to dopiero podziało na prezesa, że wydał na piśmie zaświadczenie o wyrażeniu zgody na mój wyjazd do Londynu na zaproszenie ojca. Z tym zaświadczeniem odebrałem paszport i w ostatniej chwili udało mi się kupić bilet na popłynięcie do Southampton polskim statkiem pasażerskim "Batory". Po otrzymaniu paszportu i biletu w obie strony na "Batory" dostałem w banku 5 dolarów kieszonekowego, co wystarczyłoby śmiało na opacenie biletu kolejowego z Southampton do Londynu, gdyby ojciec mnie nie spotkał w porcie. Po przyjeździe do Gdyni znalazłem się wśród 800 ludzi czekających w Urzędzie Celnym na wejście na statek. Ponieważ mój bagaż był skromny i nie miałem nic do oclenia, byłem już na statku po 2 godziny

████

nach, gdy ostatni pasażerowie wchodzili po 7 godzinach. Gdy już załatwiłem formalności celne poczułem się jak w Europie Zachodniej, do której pierwszy raz wyjeżdżałem, a mianowicie już walizek swoich nie musiałem nieść sam, bo to już należało do obsługi statku. Kabinę dostałem na samym dole, gdzie było ciasno i duszno, ale ja ciągle przebywałem, z wyjątkiem snu, na pokładzie statku, względnie w jadalniach w czasie posiłków dla pasażerów klasy turystycznej. Już przy obiedzie spostrzegłem, że jedni zamawiają po jednej zakąsce, inni po kilka, podobnie z drugim daniem i deserami. Zapytałem więc oficera w jadalni jakie są zasady wyboru dań i deserów i otrzymałem odpowiedź, że jeśli pasażer ma chęć i apetyt może zjeść wszystko, co jest w karcie zapisane. Informacja ta zadecydowała, że już żadnej zupy nie jadałem. Załączam z drogi powrotnej kartę obiadową /zał.21/ i kolacyjną /zał.22/ z 19 XII 1957. Przed wejściem na statek można było wykupić za złotówki kartki konsumpcyjne od 50 do 500 zł z podzielonymi kuponami po 5 zł, za które można było kupować w bufetach lub na dancingach soki lub inne napoje. Ponieważ moja podróż do Anglii miała potrwać tylko 3 dni, więc wykupiłem kartkę konsumpcyjną za 50 zł, natomiast mój kolega ze studiów i z pracy mgr inż. Ryszard Kotowski, którego podróż do Kanady była zaplanowana na 11 dni, wykupił kartkę konsumpcyjną za 500 zł /fot.130/.

Na "Batory" z naszego Państwowego Przedsiębiorstwa Geodezyjnego wsiadła jeszcze jedna znajoma rodzina, a mianowicie państwo Ostrowscy /Roman i Wanda/ oraz ich córka Małgosia /fot.131/, którzy również płynęli do Anglii.

Zaraz po kolacji ogłoszono, że kto chce nazajutrz rano przed obiadem zwiedzić Kopenhagę, może to uczynić wpłacając na to 1,80 dolara, co też ja i większość pasażerów na to się zdecydowała. Nazajutrz na wybrzeżu stały autokary, które przez kilka godzin obwoziły nas po Kopenhadze /fot.132,133,134,135,136/. A w samo południe podwieziono nas pod pałac królewski, umożliwiając nam zobaczenie tam gwardii i

orkiestry królewskiej przy mustrze i defiladzie /fot.137,138,139,140

Gdy statek stał na redzie przed wjazdem do portu Southampton, weszli urzędnicy angielscy, w celu sprawdzenia, paszportów, zaproszeń, wiz itp., aby nie marnować zbędnego czasu na lądzie. Trzeba było w języku angielskim wypełnić krótką ankietkę, jak np. nr paszportu, cel i termin pobytu, kto da utrzymanie i czym się zajmuje itp. Tym, którzy nie znali języka angielskiego, pomagali polscy oficerowie marynarki ze statku. Mnie taka pomoc nie była potrzebna, bo na tyle znałem język angielski, że mogłem się obejść bez pomocy. I oto pierwsza lekcja historii i geografii. Urzędnik angielski spojrział na mój paszport, datę i miejsce urodzenia i zaczęła się między nami rozmowa odmienna niż jakiej się spodziewał ten urzędnik. Zapytał mnie on, dlaczego przy moim miejscu urodzenia, czyli w Wilnie, w paszporcie jest wpisane ZSRR. Odpowiedziałem na to, że teraz Wilno jest w ZSRR. Na to on z zapytaniem: a nie w Litwie? Odpowiedziałem, że w Litwie Wilno było od października 1939 r. do czerwca 1940 r., a ja urodziłem się w Polsce. Przestał mnie już więcej pytać w tej sprawie, być może zrozumiał, że lepiej znam te zmiany graniczne w ostatnich latach niż on.

Każdy pasażer miał swoje walizki i pakunki opatrzone pierwszą literą swojego nazwiska i według tego za pomocą urządzeń dźwigowych, zdjęto je ze statku i umieszczono przed celnikami w półce pod daną literą te bagaże. Mogliśmy wówczas zejść na ląd. Pod literą A znalazłem swoje dwie walizki i z nimi zwróciłem się do celnika angielskiego. Pytał tylko o wódkę i papierosy /bo były one obłożone w Anglii dużym podatkiem cenowym, aby nie zachęcać obywateli do tych nałogów i rzeczywiście w czasie swego pobytu w Anglii nie widziałem zataczających się pijaków, a papierosy sam przestałem tam palić, gdyż za cenę 1 paczki mogłem kupić 1 kg pomarańczy/. Wkrótce zobaczyłem ojca po 18 latach niewidzenia się. Ojciec poszedł ze mną do pociągu, który po godzinie dotarł do Londynu. Jednego ojciec tylko zapomniał, a miano-

wicie nie kupił pieczywa, a w sobotę po południu w Londynie już się pieczywa nie dostało. Ojciec przyjął mnie w jednym z pięciu pokoi w swojej czynszowej kamienicy. Każdy pokój i wspólna łazienka miały dla elektryczności i gazu nie liczniki do czytania ile się kilowatów prądu i m<sup>3</sup> gazu wypaliło, lecz urządzenia do wrzucania monety, które po wyczerpaniu wartości zużytej energii automatycznie się wyłączały np. gdy wyłączyło się w naszym pokoju światło elektryczne o północy, rozmowę do 2-ej w nocy prowadziliśmy w ciemności, bo szkoda było wrzucać następną monetę. Najzimniej było w łazience, gdzie za 1 monetę można było się wykąpać w dwóch napełnionych wannach ciepłą wodą, a kto chciał się umyć lub ogolić, wolał to robić przy pomocy zimnej wody, aby nie marnować wrzuconej monety na tak małą porcję ciepłej wody.

Ponieważ mój ojciec jeszcze pracował, podobnie jak rodzina państwa Ostrowskich, więc ja z nimi umawiałem się i razem zwiedzaliśmy Londyn, gdy nasi gospodarze pracowali /fot. 141, 142, 143, 144, 145, 146, 147/. Po kilku dniach mego pobytu u ojca, przyjechał największym statkiem pasażerskim Queen Mary w odwiedziny mój brat przyrodni Henryk /fot. 148, 149/. Po krótkim powitaniu zaczęło mnie spotykać szereg rozczarowań z jego strony. Rozpoczął od tego, że pokaże mi Francję i Paryż, potem zmienił zamiar na zwiedzenie Wielkiej Brytanii, a skończyło się tym, że oprócz zegarka z bransoletą dostałem 6 funtów na zwiedzanie Londynu. Gdy w rok później przyjechał on do Warszawy na moje zaproszenie, nie interesowały go ani zniszczenia stolicy, ani cmentarze poległych w jej obronie czy w Powstaniu Warszawskim. Obchodziły go jedynie kobiety. Po kilku latach nasze kontakty urwały się, a już zupełnie zostały zerwane po śmierci naszej stryjenki Zofii Alexandrowicz, żony stryja Kazimierza, pułkownika dyplomowanego i matki Jerzego, który zginął w Powstaniu Warszawskim.

Kontakty z Germaine, gdy na pierwszym roku studiów dostawałem tylko 1 tysiąc zł miesięcznego stypendium, były ożywione i siostra

pomagała mi materialnie, a ja narazie odwdzieczyłem się zabranie jej na wczasy Politechniki Warszawskiej do Szklarskiej Poręby. W następnych latach moich studiów wysokość mojego stypendium przyznawane przez Główny Urząd Pomiarów Kraju znacznie wzrosła, wobec czego nie potrzebowałem już dalszej pomocy materialnej od swej przyrodniej siostry. Gdy na wiosnę 1950 r. zacząłem pracować i znaczną część swego pierwszego wynagrodzenia oddałem jej, to pochwaliła się, że wydała te pieniądze w ciągu jednego dnia, gdyż tyle zaprosiła gości na swoje przyjęcie imieninowe, że wszystkie pieniądze wydała. Przy swoich potrzebach materialnych zrezygnowałem z dalszego odwdzięczania się za udzielanie mi pomocy. Kontakty się rozluźniły, a po wyjeździe jej do Londynu w związku ze śmiercią ojca, gdy musiałem za jej telefony do Londynu zapłacić cztery pełne moje pensje, uważałem się za rozliczonego, a nasze kontakty między sobą nie z mojej winy zostały przerwane, lecz zostały wznowione po śmierci mojej żony t.j. od grudnia 1992 r.

Z wydarzeń rodzinnych, jak już wyżej wspomniałem, mam dwóch synów /pierwszy urodzony 17 VI 1951 r., a drugi 9 III 1966 r./. Pierwszy ukończył Wydział Inżynierii na Politechnice Warszawskiej i z żoną Elżbietą tego samego zawodu mają troje dzieci, a lokatorskie mieszkanie, które mają na Ursynowie, dostali jeszcze na Krzysztofa książeczkę mieszkaniową przez nas założoną i opłacaną. Młodszy ożenił się w sierpniu 1991 r. z Beatą, narazie dzieci nie mają, a założona przez nas i opłacana od wielu lat książeczka mieszkaniowa z zawinkulowanym wkładem na M-2 ma obecnie znaczenie historyczne, bo nie mają oni żadnych szans na dostanie mieszkania kwaterunkowego czy spółdzielczo-lokatorskiego, a na zakup działki i zbudowanie na niej własnego domu nie mają żadnych możliwości, bo pracując w instytucjach państwowych, jako magistrowie psychologii są opłacani gorzej niż dozorczy, czy niewykwalifikowani robotnicy.

Luźne kontakty utrzymywałem z rodzeństwem ciotecznym, a mianowicie z Andrzejem Grochowskim /synem wujka Kazimierza/ i jego małżonką Zofią, spotykając się czasem w Polsce raz na 10 lat lub gdy nasi synowie byli jednokrotnie u nich /fot.150,151,152,153/. Jerzy Budrewicz /syn Wacława/ mieszka w Warszawie z żoną i synem Cezarym, którego jestem chrzestnym ojcem. Nasze kontakty z nimi ożywiły się w ostatnim okresie, gdy w czasie pobytu mojej żony i mnie w szpitalach, bardzo oni mi pomogli. Kiedyś, zaraz po wojnie, nastąpiło spotkanie mojego ojca z Henrykiem w Egipcie /fot.154/.

#### Podróże oraz wycieczki krajowe i zagraniczne

W 1960 r. kupiłem na talon motocykl małolitrażowy WFM, którym ze Szklarskiej Poręby robiliśmy wycieczki z żoną, a czasem również i z synem Krzysiem, który siedział w środku między nami na siodełku. Były to wycieczki w Góry Stołowe, w Karkonosze, drogę stu zakrętów, do Wambierzyc i do Harrachova w czeskiej strefie konwencyjnej /fot.155, 156, 157, 158, 159, 160/. W następnym roku, gdy dostaliśmy wczas w Bierutowicach, a ja nie mogłem tym motocyklem dojechać w górę z Karpacza do Bierutowic, sprzedałem motocykl.

Rodzina mojej małżonki pochodziła z Piotrkowa Trybunalskiego, więc jeździliśmy często tam pociągiem, gdzie syn nasz uleżał i na dłużej był gościem teściów /fot.161,162,163,164,165/. W Piotrkowie Trybunalskim w ogrodzie i przy robotach domowych pomagała teściowej ciocia Helena Głowinkowska /fot.166/. Matka żony Jadwiga Jeżowa z domu Biskupska miała dużo rodzeństwa, w tym brata księdza prof. Stefana Biskupskiego /fot.167/ i siostrę Leonie Głowinkowską /fot.168/.

Latem 1965 r. pojechaliśmy pociągiem z żoną i Krzysztofem do Budapesztu. W tym czasie były duże upały, lecz piliśmy dużo soków i jedliśmy wspaniałe lody. Z okresu tego nie posiadamy ani fotografii.

9 marca 1966 r. urodził się nam drugi syn Tomasz. Obaj bracia są



przedstawieni na fot.169.Pomagała nam w gospodarstwie ciocia Helena Głowinkowska /fot.170/,a czasem moja stryjenka Zofia Alexandrowicz /fot.171/.

Kilka razy byłem sam z Tomkiem na wycieczkach i na nartach.Zwiedziliśmy m.in. po drodze Częstochowę,Kraków,Krynice,Zamek Pszczyński, a na miejscu Wisłę,Muszynę oraz Bukowinę Tatrzańską.Na wycieczkach tych robiliśmy wyłącznie slajdy lub filmy 8 mm.!

W 1976 r. dostałem w pracy talon,na który można było wykupić fiata 126P.Pierwszą podróż tym samochodem odbyliśmy do Piotrkowa Trybunalskiego,a następnie do Torunia /fot.172,173,174,175/.Kiedyś pojechaliśmy do Puław /fot.176,177/,do Nałęczowa /fot.178,179/ i do Kazimierza Dolnego /fot.180,181,182,183,184/.

Dzięki wpisowi do dowodu osobistego upoważniającemu do zwiedzania krajów socjalistycznych i wymianie złotych na czeki waluty danego kraju,samochodem zwiedziliśmy :

- w 1977/78 w Rumunii : z campingu Oradea,samą Oradeę,Arad i Timișoară,z campingu Mamaia,samą Mamaię i Konstancę;ponieważ 30 czerwca 1978 r. Morze Czarne było jeszcze zimne /nie nagrzane, pojechaliśmy do Bułgarii,gdzie z campingu w Achełoj zwiedziliśmy Nesebyr oraz mauzoleum Warneńczyka w Warnie,gdzie robiliśmy tylko slajdy,
- w 1978/78 Budapeszt z campingu w Budapeszcie,
- w 1978/79 na Węgrzech z campingu w Miskolcu : sam Miskolc oraz Debreczyn,z campingu w Szeged : sam Szeged,z campingu w Harkanach : same Harkany,z campingu w Siofok : sam Siofok oraz Szentendre,Visegrad i Esztergom,z campingu w Győr : sam Győr,
- w 1978 r. z campingu w Bratysławie : samą Bratysławę.

W 1979 r w Czechosłowacji : z campingu pod Karlovymi Varami zwiedziliśmy tylko Karlove Vary,z campingu w Franciszkowych Łażniach zwiedziliśmy same Franciszkowe Łażnie,Cheb oraz Mariańskie Łażnie.

Na wszystkich tych wycieczkach robiliśmy wyłącznie slajdy, z campingu w Pradze zwiedzaliśmy Pragę i mamy następujące fotografie /fot.185, 186;187,188,189,190,191,192,193,194/. W drodze powrotnej w kraju zrobiliśmy jeszcze 2 fotografie ze Lwówka /fot.195,196/.

W 1979 r. w NRD

Z campingu Boxdorfie pod Dreznem zwiedziliśmy Drezno.

Z campingu w Auensee w Lipsku zwiedziliśmy Lipsk. Fotografii tam nie robiliśmy.

Z wyżej wyszczególnionych podróży turystycznych wynieśliśmy następujące spostrzeżenia. W Rumunii, Czechosłowacji i NRD pierwszeństwo w uzyskiwaniu noclegów na campingach mieli krajowcy, a Polacy byli traktowani gorzej, chociaż wielu z nas dysponowało pieniędzmi na zapłacenie noclegów w domkach campingowych, czy bungalowach, bez potrzeby rozbijania i spania we własnych namiotach np. w Braszowie /w Rumunii w Karpatach/, gdzie z Oradei dotarliśmy wieczorem w czasie burzy na camping, odmówiono nam noclegu w bungalowie i musieliśmy w czasie deszczu rozbijać namiot, a Rumunowi, który przyjechał po nas, wynajęto nocleg w bungalowie. We Franciszkowych Łażniach /Czechy/, gdzie na campingu było wolnych 20 domków campingowych, nie pozwolono nam wynająć żadnego z nich od czwartku do niedzieli, tłumacząc, że w piątek mogą /a nie muszą/ przyjechać turyści krajowi, więc trzeba im zapewnić noclegi w tych domkach. Musieliśmy rozbijać i nocować we własnym namiocie, za co płaciliśmy tyle samo, co wynajęcie domku campingowego, z których większość od piątku do poniedziałku pozostało jednak pustych, bo krajowcy nie przyjechali na weekend.

Ogólnie w krajach tych traktowano Polaków niechętnie, w odróżnieniu od gościnności, jaką cieszyli się wszyscy cudzoziemcy w Polsce, którym dawano pierwszeństwo na wszystkich campingach, natomiast rodaków załatwiano jak klientów drugiej kategorii.

Oprócz wspomnianych już wyjazdów turystycznych, odbyłem 19 lipca 1990 r. jednodniową autokarową wycieczkę do Wiednia, a w dniach 10

i 11 września 1990 r. wzięliśmy z żoną udział w autokarowej wycieczce do Lwowa.

Przed 1 listopada 1991 r. jadąc samochodem odwiedziliśmy z żoną i jej siostrą cioteczną Wiesławą Szczepaniak groby ich rodziców w Piotrkowie Trybunalskim, a po drodze na parkingu zrobiliśmy fotografie 197, 198, 199, 200, 201, 202.

#### Działka rekreacyjna

W 1977 r. pracownicy z trzech instytucji /Główny Urząd Geodezji i Kartografii, Instytut Geodezji i Kartografii oraz Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych/ wykupili dobrowolnie od chłopów 13 hektarów lasu, który zgodnie z planem zagospodarowania przestrzennego przewidziane było do podziału na 100 leśnych działek rekreacyjnych, z zabudową ich jednorodzinnymi domkami letniskowymi. Był to las przeważnie młody i tak gęsty, bo nie konserwowany przez służbę leśną, że nie tylko trzeba było zrobić przecimki pod zaprojektowane drogi dojazdowe, ale i również żeby można było przejść między drzewami, które w 99 % były sosnami. Wszystkie prace począwszy od projektu podziału, zrobienie przecinek, wykonanie pomiarów geodezyjnych, wykarczowanie terenu na zaprojektowanych drogach, sporządzenie i oddanie dokumentacji do zatwierdzenia, zrobienie wspólnego ogrodzenia, doprowadzenie prądu elektrycznego od słupów wysokiego napięcia do poszczególnych skrzynek /z których każda mogła doprowadzić prąd do 5 działek/ zrobiliśmy sami, bądź za nasze pieniądze zrobili to fachowcy i elektrycy. W związku z powyższym na każdego pracownika wypadało conajmniej 200 godzin samodzielnej pracy oraz wpłacenia odpowiedniej sumy na prace zleczone. W każdym razie, dzięki wspólnemu wysiłkowi większości przyszłych użytkowników, wydatki na każdego użytkownika wyniosły około 24 tysięcy zł, czyli około 1/4 tego, ile każdy musiałby zapłacić, gdyby wszystko zlecał do wykonania innym osobom.

Teren tych działek leży na obszarze wsi i gminy Osieck, 8 km od Pilawy, w województwie siedleckim, w odległości około 60 km od centrum Warszawy. Akty notarialne kupna poszczególnych działek zostały podpisane w październiku 1977 r., z zobowiązaniem, by nabywcy rozpoczęli budowę domku letniskowego w ciągu trzech lat.

Nasza działka ma powierzchnię 11 arów i 55 m<sup>2</sup>, na której do dnia 28 VI 1980 r. postawiliśmy zakupiony z prefabrykowanych elementów drewnianych w Zakładach "STOLBUD" w Mikołajkach domek letniskowy o powierzchni użytkowej 23,8 m<sup>2</sup> i ogólnej 30,0 m<sup>2</sup>, który kosztował łącznie z transportem kolejowym do stacji w Osiecku 59 tys.300 zł. Odbiór elementów ze stacji, przechowanie oraz wykonanie fundamentu i montaż zleczone prywatnie kosztowały 27 tys. zł, koszt doprowadzenia elektryczności do domku z odpowiednią ilością gniazdek wyniósł 15 tys.400 zł, czyli wszystko razem wyniosło około 125 tys. zł.

Domek z pomocniczym składzikiem gospodarczym, studnią, kapliczką oraz nami jako właścicielami działki są pokazane na fotografiach 203, 204, 205, 206, 207, 208, 209. Od tego czasu, a związane później z kryzysem gospodarczym w kraju i stanem wojennym, zamiast na dalsze wycieczki krajowe i zagraniczne, jeździliśmy już nie tylko na urlopy, ale i również na weekendy na własną działkę leśno-rekreacyjną. W pobliżu znajduje się jezioro powstałe przez tamę spiętrzonej rzeczki Olszynki ze zbudowanym i użytkowanym obecnie intensywnie ośrodkiem wczasowym Elektociepłowni Żerań. W pobliżu po drugiej stronie rzeczki znajdują się działki pracowników Fabryki Samochodów Osobowych, a w odległości około 2 km w kierunku Górek i Rudnika działki rekreacyjne pracowników Komisji Planowania przy Radzie Ministrów i Ministerstwa Rolnictwa, do których prowadzą pięknie wyasfaltowane drogi. W lasach pełno jest jagód i grzybów. W samym miasteczku gminie Osieck sklepy zwłaszcza w ostatnich latach są znakomicie zaopatrzone, miejscowa piekarnia wypieka i sprzedaje świeży i smaczny chleb, a co sobotę rano odbywa się targ jarzyn, ziemniaków, cebuli, pomidorów, ogórków i

owoców.

Praca zawodowa małżonki

Dnia 26 maja 1953 r. moja małżonka lekarz dentysta Alexandrowicz Teresa Barbara dostała przez Prezydium Rady Narodowej w mieście stłecznym Warszawie upoważnienie do wykonywania zawodu lekarza dentysty z początku w Oddziale Zdrowia Warszawa-Żoliborz od 1 stycznia 1953 r do 15 listopada 1954 r, a następnie po otrzymaniu przez nas mieszkania na Mokotowie od 15 listopada 1954 r w Dzielnicowym Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej Warszawa-Mokotów w godzinach od 7<sup>15</sup> do 13<sup>15</sup>, które przedłużono aż do 7 godzin dziennie od 7<sup>15</sup> do 14<sup>15</sup>, czyli dwa razy dłużej niż przewiduje to międzynarodowy kodeks pracy w tym zawodzie. Niewątpliwie odbiło się to ujemnie na stanie jej zdrowia, a wynagrodzenie miesięcznie brutto za 7 godzin tej uciążliwej pracy w dniu 17 marca 1954 r wynosiło tylko 2 tys.400 zł miesięcznie.

28 grudnia 1974 r małżonka uzyskała kwalifikacje równorzędne ukończeniu szkolenia specjalistycznego I stopnia w zakresie stomatologii dziecięcej.

Pracowała z początku na Mokotowie Dolnym w Liceum XXXIV im.gen. Świerczewskiego i Szkole Podstawowej nr 260 przy ul. Zakrzewskiej 24 /fot.210,211,212,213,214,215,216/. W następnych latach moja małżonka leczyła dzieci w kilku szkołach podstawowych w dzielnicy Mokotów m.in. i na Powsinku. W pracy tej wykorzystywała swoją wiedzę uzyskaną na studiach Wydziału Medycyny Uniwersytetu Warszawskiego, udzielając przy wypadkach i zaskabnięciach pierwszej pomocy uczniom i personelowi tych szkół, gdy taka pomoc była niezbędna, bo w danej chwili nie było w pobliżu lekarza szkolnego.

Boże Narodzenie 1984 r. było dla niej bardzo groźne i nieprzyjemne. Na Wigilię była poproszona cała nasza rodzina tzn. do naszej trójki z młodszym synem Tomaszem przyjechała rodzina starszego

syna Krzysztofa z jego żoną i dwojgiem dzieci i nie pamiętam czy również nie była zaproszona siostra cioteczna żony z córką. Gdy ja byłem w pracy, moja małżonka szykowała wszystko i potrzebny był jej jakiś garnek wysoko umieszczony w naszym ciasnym mieszkaniu w kuchni na kredensie, którego trudno było dosięgnąć ręką, stojąc na taborecie. Tomek odmówił wyjęcia tego garnka, a żona przy jego wyjmowaniu upadła i po tym upadku czuła się z godziny na godzinę coraz gorzej, ale wytrzymała do drugiego dnia świąt, wiedząc że w szpitalach w Polsce w takie święta pracują jedynie ostatnie garnitury fachowego personelu. W drugi dzień Świąt już nie mogła wytrzymać duszenia się i bólu, więc szykowałem ją do szpitala na Stępińską, który znajduje się 300 metrów od naszego domu. Syn Tomasz oglądając ciekawy dla niego program telewizyjny nie pomógł mi doprowadzić jej do szpitala, w którym przeszło 30 lat żona należała do personelu ZOZ nr 1 Warszawa-Mokotów, którego całą administrację prowadził m.in. ten szpital i w nim odbywały się regularne zebrania całego personelu stomatologicznego i fachowe szkolenia, więc od tylu lat znano żonę w tym szpitalu doskonale. Po stwierdzeniu w Izbie Przyjęć, że jest to odma samoistna, personelowi tego szpitala nie chciało się udzielić niezbędnej pomocy do czasu przewiezienia do Instytutu Gruźlicy i Chorób Płucnych na ul. Płocką, lecz zaproponowano, żeby zawieźć żonę do jednego ze szpitali w Otwocku. Zatelefonowałem wówczas do dwóch lekarzy, którzy pracowali na ul. Płockiej. Pierwszy odmówił pomocy w załatwieniu sprawy, bo niedawno przestał tam pracować, przechodząc do pracy na ul. Komarowa do Szpitala MSW, gdzie łatwiej było robić karierę z odpowiednimi kwalifikacjami i uprzywilejowaniami. Drugim lekarzem była znajoma moja od 1946 r., której siostra była narzeczoną mego brata stryjecznego Jerzego. Jego matka t.j. moja stryjenka mieszkała w jednym z pokoi mieszkania pani doktor. Aktualnie pani doktor pracowała w Instytucie na ul. Płockiej i moim zdaniem mogła załatwić przyjęcie mojej żony do tego Instytutu. Niestety poradziła mi, żebym wiózł

żonę do Otwocka, bo tam pracuje dobrze jej znany lekarz, specjalista chorób płucnych i doskonały chirurg. Karetki pogotowia dla żony też nie było. Wiozłem żonę sam "maluchem" w zimowe świąteczne popołudnie i gdyby stan zdrowia mojej żony pogorszył się więcej, umarłaby w moim samochodzie, nie mając zapewnionej opieki lekarskiej. Na drugi dzień, po jej odwiezieniu do Otwocka, żona powiedziała mi, że wkrótce będzie operowana. Operacja wówczas byłaby łatwa do wykonania, gdyż bulla odmy nie była taka duża. Z początku zakłada się dren, którego bezzwłoczne założenie i odessanie powietrza ratują życie pacjenta. Chirurgiczny zabieg operacyjny polega na podkłuwaniu pęcherzy rozedmowych lub resekcji rozedmowo zmienionej części płuca. Niestety operacji nie przeprowadzono, bo nikt mi nie powiedział, że przystąpienie do operacji jest uzależnione od przyniesienia w kopercie odpowiedniej sumy "zielonych" i dyskretne wręczenie jej chirurgowi. Gdy nieswiadomy nie przygotowałem i nie wręczyłem tego chirurgowi, od razu zmienił się jego stosunek do mojej małżonki. Już nie było mowy o operacji i wypuszczono ją ze szpitala bez dokonania niezbędnego zabiegu i na złość na pożegnanie zrobiono kilka bardzo dużych zdjęć rentgenowskich płuc, jakie robi się przed operacją, a unika się zbędnego nasświetlania promieniami RTG pacjenta, którego się nie operuje, gdy już założony przedtem dren został wyjęty.

Gdy w Osrodku na ul. Belgijskiej moja małżonka miała uzyskać zaświadczenie, że nie jest chora na gruźlicę, pracująca tam żona chirurga ze szpitala w Otwocku komuś się podobno wyraziła "trudno się dziwić, że nie operowano bogatej dentystki, która żałowała pieniędzy na operację". Żona nigdy nie pracowała prywatnie, ani w mieszkaniu, gdzie było za ciasno, ani gdzie indziej i żony skromne wynagrodzenie wraz z moimi zarobkami wystarczały nam na dostatnie życie, a na posiadaniu willi i auta zagranicznego nam nie zależało, jak też nie zależało nam na wywyższaniu się nieuczciwą drogą nad uczciwie pracującymi ludźmi naszego kraju.

Od tej nieprzeprowadzonej operacji żona chodziła do autobusu i do pracy z szybkością 1 km/godz lecz swoje kalectwo ukrywała, pozorując, że ogląda wystawy, spaceruje z mężem, czy z psem i do pracy przyjeżdżała o godzinę wcześniej, aby nikt ją nie pytał, dlaczego po schodach idzie 10 minut, ciągle przystając i wszystko to trwało aż do 11 czerwca 1992 r.

Ja poszedłem na emeryturę od 1 stycznia 1988 r. i od tej pory mogłem poświęcić czas i wysiłki na wszystkie zakupy, sprząatanie, przygotowywanie posiłków, odprowadzanie żony do przystanków i spotkanie powracającej z pracy żony. Żona chociaż przeszła na emeryturę, od 31 października 1985 r. pracowała jeszcze na części etatu do 31 lipca 1990 r. Gdy przed 11 czerwca 1992 r. zatelefonowano do żony z NOT czy mogę wybrać się na bezpłatną wycieczkę dla seniorów Koła SGP do Puław, Kazimierza Dolnego i Nałęczowa, żona wyraziła zgodę na mój wyjazd na tę wycieczkę, wiedząc jak ja pracuję przy jej ukrywanym kalectwie i że nie mam właściwie żadnych rozrywek. Pojechałem na tę wycieczkę, gdzie m.in. udało mi się odnaleźć w Kazimieru Dolnym grób przyjaciela z pracy ś.p. mgr inż. Witolda Kuckiewicza, o którym będę pisał w rozdziale następnym. Po powrocie wieczorem do domu, sąsiedzi poinformowali mnie, że żonę zabrano pogotowie do szpitala na ul. Stępińskiej, gdzie zaraz tam pobiegłem. Rzeczywiście była tam na sali reanimacyjnej, ale tym razem przy pełnej opiece lekarskiej. Wieczorem na jej prośbę przyprowadziłem księdza z parafii św. Kazimierza z ul. Chełmskiej, który po spowiedzi i Komunii Świętej udzielił jej sakramentu Ostatniego Namaszczenia. Następnego dnia karetką reanimacyjną została zawieziona do Instytutu Chorób Płucnych na ul. Płockiej. Miała tam doskonałą opiekę lekarską dzięki wysiłkom personelu tego Instytutu, który robił wszystko, aby żonę uratować. Była na Oddziale Intensywnej Terapii w Klinice Chirurgicznej, kierowanej przez prof. dr hab. med. St. Mlekodaję z powodu daleko zaawansowanej rozedmy obu płuc i leżała tam podłączona do respiratora prawie 6 miesięcy. Nie było jednak możliwe uratowanie jej życia i zmarła 1 grudnia 1992 r.



Moja małżonka w swej kilkudziesięcioletniej pracy zawodowej odznaczała się wielką obowiązkowością, stawiając na pierwszym miejscu leczenie zębów pacjentów i nigdy nie przyjęła przedkładanych jej propozycji dodatkowego zatrudnienia w innych jednostkach organizacyjnych lepiej opłacanych.

Nigdy przed nikim ze znajomych nie narzekała na swoje dolegliwości zdrowotne i jak wspomniałem uprzednio, będąc w ostatnich latach ciężko chorą, ukrywała swoje kalectwo.

Moja praca zawodowa /w tym podróże służbowe/

Stałą pracę zawodową rozpocząłem jeszcze jako student od 1 marca 1950 r w Państwowym Przedsiębiorstwie Geodezyjnym w Warszawie przy ul. Elektoralnej 2, począwszy jako starszy rachmistrz, a już od kwietnia 1951 r na stanowisku inżyniera, gdyż dnia 19 marca 1951 r zdałem egzamin dyplomowy jako inżynier geodeta i magister nauk technicznych a od 1 maja 1952 r na stanowisku starszego inżyniera.

Prof.dr inż.Edward Warchałowski oraz prof.dr hab.inż.Czesław Kamela 1 czerwca 1950 r jako pracę dyplomową dla czworga studentów /Tadeusz Sosnowski, Genowefa Pierścioneł, Leon Alexandrowicz i Janusz Tkaczyk/ dali do realizacji wyrównanie sieci triangulacyjnej na elipsoidzie z zastosowaniem metody Pranis-Praniewicza przy układaniu i rozwiązaniu równań normalnych.Pracę tę wykonaliśmy z wynikiem dobrym, nie tylko w sensie teoretycznego rozwiązania przykładowo wybranej sieci, ale zaraz zastosowaliśmy pod kierunkiem dr inż. Tadeusza Klussa, kierownika Wydziału Obliczeń w PPG, do konkretnych rozwiązań przy wyrównywaniu fragmentów krajowej sieci astronomiczno-geodezyjnej oraz sieci triangulacji wypełniającej, przynosząc przedsiębiorstwu i Głównemu Urzędowi, który finansował ogólnokrajowe prace geodezyjne, ogromne oszczędności. My nie zgłosiliśmy tego jako wniosku racjonalizatorskiego, a więc nie wzięliśmy za to żadnej nagrody, nie tylko w formie pieniężnej, ale nawet w formie dyplomu

uznania. Później za drobne nawet usprawnienia płacono pracownikom nagrody pieniężne.

Pracowaliśmy wówczas nie patrząc ile nam płać, lecz czy nasza praca była potrzebna. Z satysfakcją przyspieszaliśmy terminy wykonywania obliczeń, widząc jak inne wydziały prowadzące prace nad osnowami niższych klas czekają na współrzędne punktów, które obliczaliśmy, jak również Główny Urząd "wyrwał" dosłownie wyniki naszych obliczeń do dalszego wykorzystania. Dawało to nam dużą satysfakcję.

Z początku obliczenia prowadziliśmy na arytmometrach ręcznych, a następnie na elektrycznych /fot.121/.

Dnia 13 VIII 1952 r. przyjęto moje usprawnienie obliczenia kątów przybliżonych z różnic azymutów przy układaniu równań błędów według rachunków Hausbrandta, wpisane do Książeczki Racjonalizatora.

20 kwietnia 1953 r Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Państwowych RP nadał mi tytuł "Przodującego w Pracy" /zał.24/.

W związku z urodzeniem się w dniu 17 czerwca 1951 r pierwszego naszego syna Krzysztofa Henryka sytuacja nasza mieszkaniowa stała się trudna, bo sublokatorski pokój, jaki wynajmowaliśmy przy ul. Święcickiego 18 u pani Nowakowskiej, był nie tylko ciasny dla trzech osób, ale dodatkowo dziecko było narażone na zarażenie się gruźlicą, gdyż siostra gospodyni, która tam mieszkała, przywiozła gruźlicę z ZSRR.

W przedsiębiorstwie wprawdzie można było więcej zarabiać, ale nie było szans na mieszkanie. Poszukiwaliśmy więc również możliwości pracy w innych miastach, jak np. w Krakowie pod Nową Hutą, Opolu, Tarnowskich Górach, Katowicach, lecz nigdzie nie mogli nam zapewnić otrzymania mieszkania. Wobec tego skorzystałem z okazji przeniesienia mnie służbowo od dnia 1 czerwca 1954 r do Departamentu Techniki Centralnego Urzędu Geodezji i Kartografii, przemianowanego później w Główny Urząd Geodezji i Kartografii. Wprawdzie moje zarobki spadły dwukrotnie, ale już w sierpniu 1954 r dostałem mieszkanie o ogólnej powierzchni 38 m<sup>2</sup> dla naszej rodziny, w którym zamieszkujemy aż do

dzisiaj./jeden pokój ma 17 m<sup>2</sup>, a drugi 7 m<sup>2</sup>/.

Rodzaje prac wykonywanych przeze mnie w PPG i GJiK od 1 marca 1950 r do 23 grudnia 1960 r określa zaświadczenie /zał.25/.

Rozpocząłem pracę w Wydziale Instrukcji Technicznych pod kierunkiem naczelnika Wydziału mgr inż. Tadeusza Pilitowskiego, a następnie w Wydziale Pomiarów Podstawowych ~~mgr inż.~~ kierowanego przez naczelnika Wydziału mgr inż. Jakuba Jamiołkowskiego przy opiniowaniu i zatwierdzaniu projektów podstawowych osnów geodezyjnych. Przy pracach tych nie ustąpiliśmy od polskiej koncepcji jednorodnej co do konstrukcji i dokładności podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej o strukturze powierzchniowej, złożonej z trójkątów o średniej długości boku 6 do 7 km, która była koncepcją opracowaną w latach 1946-1947 przez Biuro Techniczne Głównego Urzędu Pomiarów Kraju, nazwanej następnie siecią wypełniającą, którą dopilnowaliśmy by objęła cały kraj.

Nasz naczelnik wraz z mgr inż. W. Kuckiewiczem i ze mną jest ujęty na fot. 218 i 219.

Jak niskie były wynagrodzenia w Biurze Techniki w którym do pewnego czasu nie było osób partyjnych, świadczy fakt, że nasz naczelnik <sup>Wydziału</sup> Pomiarów Podstawowych mgr inż. Jakub Jamiołkowski aż do śmierci, która nastąpiła w 1964 r, otrzymywał wynagrodzenie 2400 zł. Ponieważ zarówno mgr inż. W. Kuckiewicz, jak i ja, chcieliśmy odejść i napisaliśmy w tej sprawie wypowiedzenia, umieszczono nas w gronie 30 osób w Urzędzie, którym dano ryczałty. Mgr inż. Witold Kuckiewicz dostał ryczałt w wysokości 3700 zł, a ja 3500 zł miesięcznie. Po śmierci naszego naczelnika Wydziału s.p. mgr inż. Jakuba Jamiołkowskiego, dyrektor Biura mgr inż. Józef Pawłowski chciał spowodować przyjęcie nowego naczelnika Wydziału z zewnątrz, wówczas zarówno mgr inż. W. Kuckiewicz jak i ja, złożyliśmy wypowiedzenia z pracy. Na skutek tego została nam zgłoszona przez dyrektora Biura mgr inż. Józefa Pawłowskiego propozycja, żeby ktoś z nas dwóch podjął się objęcia wakującego stanowiska. Ponieważ mgr inż. W. Kuckiewicz oświadczył, że ma za ostry język i wobec tego woli, żebym

funkcję tę objął ja, na co się zgodziłem. Po dostaniu awansu na stanowisko naczelnika Wydziału Pomiarów Podstawowych poprosiliśmy z żoną mgr inż. W. Kuckiewicza na herbatę do domu, z której zachowała się fot. 220. Zdjęcia personełu Wydziału Pomiarów Podstawowych w Biurze Techniki przedstawiają fot. 221, 222, 223, 224, a jedno z życzeń imieninowych - zał. 26.

Po nagłej śmierci starszego inspektora ś.p. Aleksandra Szwejkowskiego i odejściu do przedsiębiorstwa specjalisty inż. Zbigniewa Wolańskiego przyjęliśmy do pracy w naszym Wydziale inż. Stanisława Kostyrę /fot. 225/.

Zaraz po wojnie przyjęło się stosować zasadę, że wszystko co jest przedwojenne było złe. Dotyczyło to również punktów osnów geodezyjnych. Zakładało się nowe punkty nie szukając punktów dawnych, często przyczyniając się do ich zabudowy niższymi budowlami triangulacyjnymi /wieżami czy sygnalami/, lecz doprowadzając do niezgodności geodezyjnej między punktem nowym a punktem starym w przypadkach, gdy nie wykonywało się między nimi nawiązań geodezyjnych.

Od samego przyjścia przeze mnie do CUGiK /od czerwca 1954 r/, a następnie od przyjścia do GUGiK mgr inż. Witolda Kuckiewicza /około 1956 r/, byliśmy przeciwni takiemu projektowaniu i zakładaniu takich nowych sieci, które nie wykorzystywały punktów uprzednio założonych. Ponadto byliśmy zwolennikami i wpłynęliśmy odpowiednio na zmianę przepisów technicznych tak, żeby w maksymalnym stopniu wykorzystywać dawne materiały obserwacyjne i poddawać je wspólnemu wyrównaniu z obserwacjami nowymi. Dawało to zarówno korzyści ekonomiczne, jak i lepszą zgodność wyników na stykach nowych i starych sieci. W naszych podróżach służbowych do delegatur GUGiK, nad którymi mieliśmy nadzór w zakresie zatwierdzania projektów technicznych, na zagadnienia te zwracaliśmy baczna uwagę i korygowaliśmy pracę delegatur, jeśli zauważyliśmy nieprawidłowości.

Dużą rolę odgrywały posiedzenia Komisji Opiniowania Projektów

Technicznych /KOPT/, na które jeździliśmy i niejednokrotnie dzięki temu dużo dawnych materiałów obserwacyjnych zostało wykorzystanych przy zakładaniach nowych sieci geodezyjnych.

Zaskoczeniem natomiast było dla nas to, że po zmianach w Dyrekcji PPG /skąd oszedł naczelny inżynier, a następnie naczelny dyrektor tego przedsiębiorstwa mgr inż. Edward Jarosiński/, nowa dyrekcja przedsiębiorstwa przestała brać udział w posiedzeniach KOPT, a sprawą tą obciążyła wyłącznie głównego specjalistę do spraw osnów z początku mgr inż. Stanisława Gelo, a następnie inż. Bolesława Kłobukowskiego względnie kierownika Wydziału Robót mgr inż. Ryszarda Chruściela. W takim to układzie bardzo dużo czasu poświęciliśmy z mgr inż. Witoldem Kuckiewiczem nad możliwością adaptacji dawnych materiałów obserwacyjnych przy zakładanej sieci triangulacyjnej Województwa Stołecznego Warszawskiego. Rekonstrukcję sieci triangulacyjnej m. st. Warszawy w ramach obiektu 905 dla PPG zlecił GUGiK 12 kwietnia 1969 r, która w następnych latach została rozszerzona na obszar całego Warszawskiego Zespołu Miejskiego i objęła zasięgiem nowe województwo stołeczne warszawskie. Analizę osnów geodezyjnych na obszarze Warszawskiego Zespołu Miejskiego wykonało PPG, natomiast analizę triangulacji m. st. Warszawy wykonało Warszawskie Przedsiębiorstwo Geodezyjne. Były one przedmiotem zaopiniowania przez KOPT /bez udziału dyrekcji PPG/ oraz akceptowane ze zmianami przez Główny Urząd /mgr inż. Witold Kuckiewicz, mgr inż. Leon Alexandrowicz/, w wyniku którego rozszerzono możliwości adaptacji szeregu obserwacji i współrzędnych dawnych sieci do sieci nowej.

Projekty wstępne i wykonawcze dla całego obszaru były oceniane na posiedzeniach KOPT z udziałem z ramienia GUGiK mgr inż. Witolda Kuckiewicza i mgr inż. Leona Alexandrowicza z uwzględnieniem szerokiego zastosowania wież przenośnych i pomiarów liniowych oraz zmniejszenia ilości obserwacji kątowych dla krótszych boków.

W związku z przystąpieniem do prac projektowych Warszawskiego metra Główny Urząd zorganizował naradę w dniu 5 września 1974 r,

na której zgłosiłem koncepcję wzmocnienia konstrukcji zakładanej sieci triangulacyjnej na obszarze m.st. Warszawy przez wykonanie pomiarów dalmierzem laserowym długości boków sieci leżących w pobliżu projektowanych linii metra, tak aby sieć mogła stanowić podstawową poziomą osnowę geodezyjną nie tylko dla miasta, ale i również potrzeb metra. Po przyjęciu tej koncepcji nie zachodziłaby potrzeba zakładania lokalnych sieci kąto- i linowych dla potrzeb metra. Koncepcja ta nie została jednak przyjęta wobec stwierdzenia głównego geodety m.st. Warszawy mgr inż. A. Wróblewskiego "że ostateczne decyzje co do sposobu realizacji podstawowej osnowy geodezyjnej budowy metra będą sprecyzowane po ustaleniu technologii jego budowy".

Od 1 października 1974 r. zgodnie z zarządzeniem Prezesa Rady Ministrów zatwierdzanie projektów osnów geodezyjnych przeszło z Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii do Urzędów wojewódzkich, w związku z czym Główny Urząd nie miał już wpływu na rozpatrywanie projektów technicznych osnów, za których rozpatrywanie, zatwierdzanie oraz uzgadnianie kosztorysów nie pobierał żadnych opłat. W/w decyzja wynikająca z zarządzenia Prezesa Rady Ministrów przekazania zatwierdzania projektów osnów geodezyjnych do urzędów wojewódzkich, spowodowała, że Wydział Pomiarów Podstawowych stał się stanowiskiem pracy d.s. pomiarów podstawowych i zmniejszył liczbę zatrudnienia do 3 osób /fot.229/ i rola nasza w zakresie zatwierdzania projektów osnów i uzgadniania kosztorysów ograniczyła się do podróży służbowych do urzędów wojewódzkich w ramach nadzoru. Z chwilą, gdy zagadnienia te przeszły do urzędów wojewódzkich, przedsiębiorstwa musiały płacić dosyć duże kwoty za czynności administracyjne urzędów wojewódzkich, a przy uzgadnianiu kosztorysów urzędy wojewódzkie obcinając przedłożone koszty automatycznie obniżały premie dla swoich pracowników, więc kto był zainteresowany obniżaniem kosztów robót? W konkretnej sytuacji za sieć triangulacyjną Województwa Stłecznego Warszawskiego została przyznana nagroda Ministra Administracji, Gospodarki Terenowej i

Ochrony Środowiska zespołowi z głównym udziałem mgr inż. Jerzego Wysockiego - naczelnego inżyniera PFG, a następnie dyrektora Zjednoczenia Przedsiębiorstw GEOKARTU /który nie brał udziału w analizach i opiniach technicznych w zakładaniu tej sieci/, z pominięciem w składzie tego zespołu mgr inż. Witolda Kuckiewicza i mgr inż. Leona Alexandrowicza. Przed ustaleniem tej nagrody ujemną opinię co do składu zespołu złożyłem w Wydziale Postępu Technicznego naszego Biura, lecz dyrektor Biura mgr inż. Andrzej Zgliński opinię tę zlekceważył.

Ile jeszcze kosztowało prace nad założeniem lokalnej osnowy dla potrzeb metra, kierowane przez prof. dr hab. inż. Andrzeja Hermanowskiego, wiedzą zleceńodawcy.

Gdy w kilka lat później będąc w Pradze Czeskiej i jadąc gotowym już metrem, zapytałem geodetów czeskich, ile ich kosztowała sieć geodezyjna dla potrzeb metra, odpowiedzieli, że założyli kilka czy kilkanaście punktów sieci triangulacji państwowej 4 klasy i to im wystarczyło.

Nic więc dziwnego, że przy tak rozrzutnej gamie prac geodezyjnych w Polsce, przy ogromnej liczbie wypożyczonych dolarów w czasach propagandy sukcesów doczekaliśmy się już po kilku latach takiego kryzysu gospodarczego w roku 1980.

Gdy mgr inż. Witold Kuckiewicz otrzymał wymówienie emerytalne, zaprosił wszystkich z Biura na pożegnalną kolację do restauracji "Ambasador" w al. Ujazdowskich /fot. 226, 227, 228/.

Przechodząc teraz do spraw merytorycznych muszę z przykrością stwierdzić, że podejmowane kolejno przez kierownictwo GUGiK decyzje zarówno techniczne, jak i organizacyjne, były coraz gorsze i przynosiły duże straty dla gospodarki narodowej, które do dzisiaj nie zostały skorygowane :

A. Pierwsze takie decyzje dotyczyły odwzorowania

Zakładana z dużym nakładem pracy i kosztów oraz dużą dokładnością podstawowa pozioma osnowa geodezyjna otrzymywała coraz to gorsze odwzorowanie wyrażone w układach współrzędnych prostokątnych płaskich, a mianowicie :

- opracowane przez ówczesnego docenta Politechniki Warszawskiej /obecnie profesora/ mgr inż. Jana Różyckiego optymalne dla naszego kraju odwzorowanie podziału obszaru Polski na 4 trzystopniowe pasy południkowe odwzorowania Gaussa-Krügera przy współczynniku  $m_0 = 0,999935$  dawały maksymalne zniekształcenia 7 cm, co praktycznie było zaniedbywalne przy wszystkich pracach kartograficznych i zostały przyjęte przez kierownictwo GUPK w 1947 r,
- niestety już w 1949 r. niesłusznie skalę tę czyli współczynnik  $m_0$  skorygowano na równy 1, co zwiększyło prawie dwukrotnie zniekształcenia na krańcach stref do 13 cm,
- najgorszą natomiast decyzją było przyjęcie odwzorowania tzw. układu "1965", opracowanego przez mgr inż. Juliusza Milewskiego z Zarządu Topograficznego WP przez podział naszego kraju na 5 obszarów w granicach ówczesnych województw, w których dla 4 pierwszych stref I, II, III i IV :

a/ w środku obszaru danej strefy poprawka na 1 km długości jest ujemną i wynosi - 200 mm, a zniekształcenia powierzchni -  $400 \text{ m}^2$  na  $1 \text{ km}^2$ ,

b/ w odległości ca 180 km od środka obszaru danej strefy zniekształcenia liniowe i powierzchniowe są równe zeru,

c/ w odległości dla punktu położonego 323 km od środka /174 km od promienia zniekształceń zerowych - punkt b/ poprawka na 1 km długości jest dodatnia i wynosi 434 mm na 1 km długości oraz  $+ 868 \text{ m}^2$  na  $1 \text{ km}^2$  powierzchni.



Tylko dla strefy V, obejmującej wyłącznie dawne województwo katowickie, poprawki liniowe i powierzchniowe dla większości obszaru są ujemne, a na skrajach obszaru dodatnie i nie przekraczają :

- 17 mm na 1 km długości, - 34 m<sup>2</sup> na 1 km<sup>2</sup> powierzchni,
- + 17,5 mm na 1 km długości, + 35 m<sup>2</sup> na 1 km<sup>2</sup> powierzchni.

Według wytycznych Biura Techniki GUGiK z 25 III 1970 r TE.2-32/1/7 w sprawie stosowania układów współrzędnych dla obszarów miast i osiedli, w których maksymalny na obiekcie wpływ odkształceń odwzorowawczych układu "1965" łącznie z wpływem redukcji do poziomu morza przekraczał dla terenów kategorii A i B 2 cm na 1 km długości i dla terenów kategorii C - wielkości 4 cm na 1 km, należało wprowadzać układy lokalne. Według tych wytycznych dla większości miast położonych na obszarach I, II, III, IV strefy układu "1965" nie można było stosować układu państwowego "1965".

Niestety do dzisiaj układ "1965" nie przestał obowiązywać. Z początku argumentowano, że były to decyzje Komitetu Obrony Kraju /KOK/, potem decyzjami Układu Warszawskiego, a potem gdy już nie było żadnych przesłanek odejścia od tego układu, argumentowano, że za dużo materiałów powstało, więc nie ma się jak wycofać.

Gdy tylko Biuro Techniki dostało 1 egzemplarz tablic redukcji liniowych i powierzchniowych dla pięciu stref układu "1965" i wzór na zniekształcenia kątowe, mgr inż. W. Kuckiewicz rozszyfrował układ i zameldował o tym mnie i dyrektorowi Biura Techniki mgr inż. Józefowi Pawłowskiemu, a ten przesławił GUGiK mgr inż. Borysowi Szmielowi. Prezes wziął się za głowę, lecz zamiast pójść z fachowcami do Zarządu Topograficznego, posłał tam tylko samego dyrektora Biura Techniki mgr inż. J. Pawłowskiego, który poszedł do płk Jana Chryszczanowicza. Ten ostatni powołał się na uchwałę KOK i sprawa się skończyła.

Sprawa układu "1965" wracała w dyskusjach kilkakrotnie na posiedzeniach Rady Geodezyjno-Kartograficznej i posiedzeniach Kolegiów w GUGiK poświęconych wyrównaniu zmodernizowanej poziomej osnowy

geodezyjnej kraju, niestety bez pozytywnego rezultatu, i w ten sposób najdokładniejsza w Europie nasza podstawowa pozioma osnowa geodezyjna uzyskała współrzędne w najgorszych odwzorowaniach.

Na jednej z ostatnich narad w tej sprawie, w której brałem udział, Szef Zarządu Topograficznego Sztabu Generalnego WP płk dr inż. Zenon Biesaga oświadczył, że nie stawia żadnych przeszkód, aby służba cywilna wycofała się z układu "1965" i wybrała lepsze odwzorowanie, niestety kierownictwo GUGiK oraz Departament Geodezji i Gospodarki Gruntami Ministerstwa Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa nie zmieniły tego fatalnego dla gospodarki narodowej układu "1965".

B. Drugie takie decyzje dotyczyły podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej kraju

Wniosek o równoczesne wyrównanie krajowej sieci astronomiczno-geodezyjnej /SAG/, punktów pośrednich i wszystkich punktów triangulacji wypełniającej /SW/, które pozwoliłoby uzyskać dla całej sieci wypełniającej przeciętną wartość średnich błędów pomiaru kąta po wyrównaniu odpowiadającą 1 klasy triangulacji państwowej / $m_0 \leq 1,0''$ / i uzyskać współrzędne odpowiadające rzeczywistej dokładności pomiarów SW tj. ze średnim błędem położenia jej punktów rzędu 3 cm zgłosiłem na piśmie dnia 30 marca 1973 r. Wniosek ten na naradzie roboczej zorganizowanej przez Biuro Techniki w dniu 29.08.1973 r nie został przyjęty.

Z podobnym wnioskiem wystąpiłem w ramach prac w Zespole Ekspertów ds programu prac nad podstawową osnową geodezyjną kraju, powołanym przez prezesa GUGiK dnia 10.01.1975 r, który na str 25 swego Raportu w wariacie drugim częściowo poparł mój wniosek, lecz nie skonkretyzował sprawy, kiedy ma nastąpić wyrównanie obu sieci i jak będzie ono wykorzystane.

Na dalsze rozpatrzenie spraw dotyczących programu prac nad modernizacją podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej kraju, które były przedmiotem rozważań na posiedzeniach Rady Geodezyjnej i Kartogra-

ficznej, odbytych w dniach 5 czerwca i 27 listopada 1975 r nie miałem bezpośredniego wpływu, gdyż nie byłem na te posiedzenia zaproszony.

19 sierpnia 1977 r, gdy nie było dyrektora Biura Rozwoju Nauki i Techniki mgr inż. Stanisława Różanki, prezes GUGiK podsekretarz stanu dr inż. Czesław Przewoźnik wezwał mnie, żeby mu przedstawić sugestie w zakresie uzyskania lepszych współrzędnych poziomej osnowy podstawowej kraju, co też uczyniłem i w dniu 23 sierpnia 1977 r złożyłem uzupełniającą notatkę /zał.27/.

Po otrzymaniu jej prezes GUGiK bez żadnej konsultacji ze mną zatwierdza program prac nad modernizacją podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej kraju, który zbędnie rozszerza zakres prac.

Dopiero "Koncepcja modernizacji poziomych osnów geodezyjnych kraju", opracowana przeze mnie w zakresie osnowy I klasy i mgr inż. Edwarda Jarosińskiego w zakresie II i III klasy, w Biurze Rozwoju Nauki i Techniki, przyjęta przez Kolegium GUGiK w dniu 22 grudnia 1977 r, pozytywnie oceniona przez Radę Geodezyjną i Kartograficzną w dniu 23 lutego 1978 r, zatwierdzona przez prezesa GUGiK w dniu 18 marca 1978 r, doczekała się realizacji.

W sprawie tej napisałem artykuł pt. "Modernizacja podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej kraju" w Przeglądzie Geodezyjnym nr 3 z 1987 r /zał.28,29,30,31/. Niestety znowu wysoka dokładność uzyskana z wyrównania zmodernizowanej sieci została znacznie obniżona w wyniku transformacji na nieszczęsny układ "1965".

Chociaż "Wyrównanie podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej Polski" uzyskało I nagrodę prezesa GUGiK za wybitne osiągnięcia naukowe i techniczne w dziedzinie geodezji i kartografii w roku 1986 /zał.32/, jednak na skutek nie zrezygnowania ze stosowania odwzorowania układu "1965" nie wykorzystano się w sposób bardzo znaczny podniesienia dokładności wyrównanej zmodernizowanej osnowy.

Ponadto wobec nieuzgadniania ze mną granicy zewnętrznej wyrówny-

wanej sieci nie wykorzystano wartościowych materiałów obserwacyjnych z sieci nadesłanych z ZSRR, CSRS i NRD, które dochodziły do punktów Laplace'a leżących w tych państwach, przez co zostały osłabione zewnętrzne punkty naszej modernizowanej podstawowej poziomej osnowy kraju.

Jednym z oponentów rezygnacji z układu "1965" był mgr inż. Zenon Marzec, który dla kariery przeszedł z naszego biura do Biura Nadzoru Geodezyjnego i Kartograficznego, zapisał się do partii, został wicedyrektorem tego biura, potem zapisał się do „Solidarności” i zawsze twierdził, że żadna modernizacja osnowy jest niepotrzebna, gdyż gdy zmienia się współrzędne osnowy, zmienia się również powierzchnie działek liczone ze współrzędnych. Rozumując w ten sposób nie warto modernizować nawet sieci katastralnych byłego zaboru austriackiego sprzed 100 lat, bo zmienia się powierzchnie działek tam założonych.

C. Trzecie takie decyzje dotyczyły ujawniania technologii "receptur" na szereg precyzyjnych czynności geodezyjno-kartograficznych.

W każdym kraju obowiązuje cenzura na pewne technologie. Żaden rzemieślnik nie zdradza pewnych zdobytych przez siebie doświadczeń, które zwiększają jego wydajność i zarobki. Żaden właściciel browaru, wytwórni win i gatunkowych wódek, fabrykant pewnych wyrobów perfumeryjnych nie ujawnia swoich receptur, gdyż gdyby to uczynił inni by je zaczęli stosować, a on sam nie tylko szybko by stracił szereg nabywców swojego wyrobu, ale groziło by mu bezrobocie.

Niestety kierownictwo GUGiK tych zasad nie przestrzegało w stosunku do precyzyjnych technologii dla szeregu prac geodezyjno-kartograficznych i szczegółowych czynności, do których można było dojść przez żmudne prace naukowo-badawcze i doświadczalne. Za pieniądze państwowe nasze instytuty naukowo-badawcze, zespoły doświadczalne fachowców osiągnęły optymalne technologie wykonywania szeregu prac geodezyjno-kartograficznych i poszczególnych czynności zwiększających jakość i wydajność prac. Końcowym wyrazem tych prac doświadczalnych

były wytyczne techniczne do instrukcji technicznych, które jako jawne rozeszły się na cały świat, tak że zaczęli je stosować niewykwalifikowani nawet wykonawcy prac geodezyjno-kartograficznych w zacofanej gospodarce w krajach afrykańskich i azjatyckich, jak również w innych krajach uprzemysłowionych, gdzie państwo nie wydawało tyle pieniędzy na geodezję, co w naszym kraju.

W ten sposób za darmo rozdaliśmy świętą technologię, które powinny być objęte tajemnicą zawodową, a nasi geodeci zamiast rozślawiać dobre imię naszego kraju zostali bezrobotnymi.

Nie broniąc zasad przesadnej cenzury jaka obowiązywała w PRL przez szereg lat, był taki zbieg okoliczności, że dodatek do Instrukcji o wykonywaniu pomiarów triangulacji wypełniającej i zagęszczającej, obejmujący zmiany i uzupełnienia instrukcji, obowiązujące przy zakładaniu państwowej sieci triangulacyjnej 2, 3 i 4 klasy, gdy zamierzano go wydać wraz z w/w instrukcją uzyskał w 1969 r w Urzędzie Kontroli Prasy i Widowisk kwalifikację "do użytku służbowego" z uwagi m.in. na technologię zakładania punktów kierunkowych. W naszym więc kraju instrukcja wraz z dodatkiem była do "użytku służbowego", w Iraku natomiast Państwowe Przedsiębiorstwo Geodezyjne, przy zakładaniu podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej dla tego kraju założyło punkty kierunkowe, korzystając z tej technologii, co mogło potem mieć wpływ na termin zakończenia konfliktu wojennego jaki powstał na Bliskim Wschodzie po zajęciu przez Irak Kuwejtu.

#### D. Inne decyzje dotyczyły spraw organizacyjnych

Gdy zacząłem pracę zawodową 1 marca 1950 r podobał mi się podział kompetencji między Głównym Urzędem Pomiarów Kraju a Państwowym Przedsiębiorstwem Geodezyjnym. Główny Urząd opracowywał przepisy techniczne, ustalał zakres niezbędnych prac i zapewniał pieniądze potrzebne na wykonanie przez przedsiębiorstwo zaplanowanych prac. Nie było zbędnej biurokracji, żadnych cenników i masy ludzi, którzy później wyłącznie się tym zajmowali. Na moje oko na 50 wykonawców

był jeden pracownik administracyjny. Gdy kończyłem pracę w latach 1987/1988 na jednego wykonawcę był zatrudniony więcej niż jeden pracownik administracyjny. Doszło do tego, że w latach 70-tych, gdy prezesem GUGiK był podsekretarz stanu dr inż. Czesław Przewoźnik, który na jednej z narad zapytał "ile PPGK założyło punktów osnowy poziomej II klasy", dyrekcja PPGK podała kwotę wydanych pieniędzy i dzieląc ją przez przeciętną cenę określiło przybliżoną liczbę punktów, bo liczone tylko kwotę wydanych pieniędzy, a gotowy produkt czyli liczba punktów była sprawą drugorzędną. Nonsensem tego okresu była propaganda sukcesu, a mianowicie im więcej dane przedsiębiorstwo wydało pieniędzy, tym większe były premie. Sądzę, że w tym zakresie nic się nie zmieniło przynajmniej do likwidacji Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii t.j. do dnia 31 grudnia 1987 r, gdy odszedłem na emeryturę. Sukcesem na wykresach były krzywe, gdzie rosły poniesione nakłady, lecz pod spodem nie było informacji, czy wzrastała przy tym liczba wyprodukowanego towaru.

Złą politykę kadrową stosował Główny Urząd, w stosunku do osób, które otrzymywały mieszkania służbowe, a mianowicie nie zobowiązywano tych osób do przepracowania przynajmniej 5 lat w tym urzędzie. Były osoby, które po przepracowaniu jednego roku od otrzymania mieszkania już odchodziły do innej pracy, lepiej płatnej. Podobnie było z talonami samochodowymi. A szczytem nieprawidłowości było przydzielenie asygnaty samochodowej wieloletniemu dyrektorowi robót w Iraku, który pracując tam wraz z żoną zarobił dużo dolarów i miał jeszcze na tyle bezczelności, by komuś, komu się należało, np. wieloletniemu mało płatnemu pracownikowi z urzędu zabierać asygnatę.

Inną również złą politykę nie tylko kadrową, ale i gospodarczą, stosowano do pracowników Biura Techniki, którzy przeważnie bezpartejni byli dyskredytowani poprzez :

- pracę w pokojach wielosobowych,
- najniższe płace,

- najmniejszą liczbę odznaczeń /większość pracowników Biura Techniki krzyże kawalerskie dostawało za pracę społeczną w Stowarzyszeniu Geodetów Polskich przy NOT/,

- najmniejszą liczbę przyznanych talonów, a potem asygnat na samochody

Najwięcej natomiast byli obciążani pracą i redukcjami etatów.

W czasie mojej 33 letniej pracy w Głównym Urzędzie zaznałem wielu krzywd i upokorzeń np.:

- gdy w marcu 1966 r urodził się mój drugi syn Tomasz zwróciłem się o przydział większego mieszkania /jak już wspomniałem troje nas, a w pewnym okresie dzworo, bo ciocia z nami zamieszkała, zajmowało jeden pokój 17 m<sup>2</sup>, a drugi 7 m<sup>2</sup>/, sprawę moją nie skierowano do Biura Spraw Lokalowych Urzędu Rady Ministrów, a Wydział Ogólny nie przedstawił mego wniosku prezesowi GUGiK. Poinformowano mnie natomiast ustnie, że dopóki naczelnik Wydziału Finansowego mający również dwóch synów i korzystający również z dwóch pokoi /tylko o powierzchni 40 m<sup>2</sup> i ogólnej powierzchni mieszkania 55 m<sup>2</sup>/ nie dostanie mieszkania 3 pokojowego, to ja jako naczelnik Wydziału Pomiarów Podstawowych w Biurze Techniki nie mam co się starać o powiększenie mieszkania,

- jako członek ZBOWiD, kombatant Ludowego Wojska Polskiego, ale szeregowy, nigdy w Dniu Wojska Polskiego 10 października nie zostałem poproszony na krótką herbatkę z okazji tego święta, bo byłem szeregowym, a działał w urzędzie jedynie Klub Oficerów Rezerwy /KOR/, z których jeden z członków awansowany z kapitana na majora rezerwy i dumny z przyznania mu odznaczenia Za Utrwalanie Władzy Ludowej potrafił wyśmiewać się, że należy do KOR-u, tak jak gdyby był w Komitecie Obrony Robotników. O tym że Główny Urząd wiedział, że jestem kombatantem, świadczy zał. 33.

Wszystkie moje reklamacje o skorygowanie mojego niskiego wynagrodzenia były załatwiane odmownie, względnie "dla świętego spokoju"

podwyższano mi zaszeregowanie o kilkaset zł, podobnie gdy chodziło o przyznanie mi asygnaty na samochód małodlitrażowy fiat 126P /zał.34 plik pism i skarg/.

Od szeregu lat, gdy pracowałem w GUGiK, było zwyczajem, że najwięcej awansów, nagród, talonów /asygnat/ na samochód otrzymywali pracownicy tego biura, którym ktoś z jego pracowników pełnił funkcję pierwszego sekretarza partii. Tak było np. w Biurze Prezydialnym, gdy jego dyrektorem czy zastępcą był mgr inż. Piotr Urbański, młody wiekiem, ale wysoko ustawiony. Bez jego aprobaty prezes GUGiK prof dr hab. inż. Zdzisław Adamczewski nie podejmował nawet najdrobniejszej decyzji m.in. właśnie wtedy w odpowiedzi na którąś z kolejnych moich skarg otrzymałem odpowiedź, że zasługi moje opisane w mych "pismach są w pełni doceniane przez kierownictwo GUGiK. Wyrazem uznania są nadane Obywatelowi odznaczenia państwowe i resortowe, a w szczególności nadany Obywatelowi w b.r. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski" /zał.35/. Z jaką perfidią wystarczającą tylko dla naiwnych była treść tego pisma, gdyż z samej treści legitymacji wynika, że krzyż ten nadaje się za wyróżniającą pracę po przepracowaniu trzydziestu lat w urzędach państwowych i krzyż ten otrzymały u nas prawie wszystkie sekretarki, maszynistki, intendenci i niektóre sprzątaczkę, o ile przepracowały w urzędach państwowych 30 lat /zał.36/.

Natomiast, gdy pierwszym sekretarzem partii został pracownik Biura Rozwoju Nauki i Techniki, były dyrektor CIGiK, który wrócił z prac za granicą, a drugim sekretarzem naszego biura był pracownik A, a w egzekutywie był dyrektor Biura mgr inż. Tomasz Dudziński, to wszyscy trzej, „palcem w bucię nie kiwnęli” na moją skargę, chociaż wiedzieli, że odchodzę niedługo na emeryturę mimo tego, że moje pismo do prezesa GUGiK z 15 maja 1987 r /zał.31/ otrzymali do wiadomości i pokwitowali. dyrektor Biura, egzekutywa POF, Rada Pracownicza GUGiK oraz Zarząd Koła SGP przy GUGiK. Pieniądze dodatkowe, które Główny Urząd dostał z Urzędu Rady Ministrów na podniesienie wynagrodzeń głównych specja-



listów, zostały rozdzielone niezgodnie z tą zasadą, a mianowicie wszystkim pracownikom podniesiono płace w jednakowej wysokości wliczając w to nawet gońców zatrudnionych od kilku tygodni w Biurze Prezydyalnym. Niemalą rolę w tej sprawie odegrał mgr inż. Andrzej Zgliński - doradca kierownictwa Urzędu, a były dyrektor Biura Nauki i Techniki. Był bezpośrednio zainteresowany takim rozdzieleniem dodatkowych pieniędzy, bo popierając Biuro Prezydyalne, w którym nie było głównych specjalistów, zyskał w tym biurze poparcie, jak i w Radzie Zakładowej z której w związku z tym zrezygnowałem z funkcji przedstawiciela Biura na posiedzeniu Rady Zakładowej w dniu 14 maja 1987 r /zał.36/.

Dwóch członków partii /AiB/ zatrudnieni w naszym Biurze Rozwoju Nauki i Techniki było bardzo solidnymi pracownikami. Jednak prawdopodobnie będąc zdyscyplinowanymi członkami partii i dbając o własne wynagrodzenie również „palcem w bucie nie kiwnęli” w sprawie mego wynagrodzenia i asygnaty na małodlitrażowy samochód.

W efekcie poszedłem na emeryturę z podstawą mniejszą niż było ich wynagrodzenie /jako młodsi, daleko do emerytury/, a asygnata na fiata 126F została rozlosowana wśród 6 osób i szczęśliwy los wyciągnął mgr inż. Jerzy Rękawek, który wprawdzie w Urzędzie naszym krótko pracował, ale pracuje jeszcze do dziś, chociaż jest już w wieku emerytalnym w Departamencie Geodezji i Gospodarki Gruntami Ministerstwa Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa, który to departament jest resztką zlikwidowanego Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii.

W czasie mojej pracy w Urzędzie prezesami byli : mgr inż. Jan Rabanowski, mgr inż. Borys Szmielew, dr inż. Czesław Przewoźnik oraz prof dr hab. inż. Zdzisław Adamczewski, a dyrektorami Biura Techniki byli : mgr inż. Józef Pawłowski, inż. a potem mgr inż. Stanisław Różanka, mgr inż. Andrzej Zgliński i mgr inż. Tomasz Dudziński.

Największą aktywność wykazywał dr inż. Czesław Przewoźnik. Zdobył on bardzo dużo pieniędzy na inwestycje i sprzęt; opracowania na Kolegium oraz Radę Geodezyjną i Kartograficzną były autoryzowane, przez co łatwo je było publikować; do poszczególnych tematów współpracy ze

służbami geodezyjnymi krajów socjalistycznych wytypował fachowców, którzy nie byli przeważnie dyrektorami, przy czym na przewodniczących delegacji na wyjazdy do krajów socjalistycznych wyznaczał pracowników GUGiK, co ułatwiało podejmowanie decyzji, czy Urząd jest przygotowany na takie czy inne prace oraz możliwości ich finansowania. W związku z tym ja również znalazłem się na liście specjalistów w dziedzinie zakładania precyzyjnych sieci geodezyjnych i grawimetrycznych, a po przejęciu zadań z informatyki również w tej dziedzinie.

Kiedyś, gdy na posiedzeniu Kolegium GUGiK dr inż. Czesław Przewoźnik zapytał dyrektora mgr inż. St. Różankę, czy oprócz koncepcji modernizacji osnowy poziomej Biuro rozwoju Nauki i Techniki nie widzi celowości modernizacji osnowy wysokościowej; dyr. Różanka i mgr inż. Edward Jarosiński odpowiedzieli, że taka koncepcja może być w Biurze szybko opracowana. Po powrocie zwrócili się do mnie z prośbą o jej opracowanie. Przystąpiłem z pełnym zapałem do tej pracy i gotową koncepcję przedstawiłem na Kolegium GUGiK w dniu 27 lipca 1978 r., która po pozytywnej ocenie Rady Geodezyjnej i Kartograficznej /rot. 250/ w dniu 6 listopada 1978 r. została zatwierdzona do realizacji 11 grudnia 1978 r. W sprawie tej napisałem artykuł w Przeglądzie Geodezyjnym nr 5 z 1979 r.

O realizacji zmodernizowanych wysokościowych osnow geodezyjnych kraju napisałem artykuł w Przeglądzie Geodezyjnym nr 9-10 z 1986 r. Szkice sieci podstawowej osnowy wysokościowej I klasy przedwojennej i obecnie zmodernizowanej stanowią załączniki 37 i 38.

Za wykonanie modernizacji podstawowej osnowy wysokościowej I klasy dostałem wyróżnienie Prezesa GUGiK za wybitne osiągnięcia naukowe i techniczne w dziedzinie geodezji i kartografii w roku 1986 /zał. 39/.

Z dużą satysfakcją mogłem odnotować mój dorobek w dziedzinie pomiarów podstawowych, który znalazł m.in. wyraz w zakresie modernizacji podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej kraju i modernizacji

podstawowej wysokościowej osnowy geodezyjnej kraju, których zalety opublikowałem w dwóch artykułach Przeglądu Geodezyjnego, wymienionych w polskim raporcie na XIX Generalne Zgromadzenie Ogólne Międzynarodowej Unii Geodezji i Geofizyki Vancouver-Kanada, sierpień 1987 r /zał.40/.

Natomiast bez satysfakcji, ale z dużym żalem, zakończyłem pracę w likwidowanym Głównym Urzędzie Geodezji i Kartografii, z którego papiery przesłane do ZUS wykazały żak niskie moje zaszeregowanie, a w dodatku chociaż w styczniu 1988 r pracowałem już jako emeryt nie na pełnym etacie, wypłacono mi wynagrodzenie w pełnej wysokości /zamia w wysokości 30/31 t.j. 97 % etatu, czyli niepełnego etatu/ w związku z czym ZUS w zawiadomieniu o przyznaniu emerytury z dnia 14 marca 1988 r przyznał wypłatę emerytury od dnia 1 lutego 1988 r, chociaż moje zatrudnienie wpisane do dowodu osobistego ustało dnia 30 stycznia 1988 r, a więc dwa dni od daty wypłaty emerytury.

Współczynnik mojej podstawy do emerytury z ostatniego roku pracy na stanowisku głównego specjalisty do średniego wynagrodzenia w kraju wyniósł 1,05, a dopiero nowa ustawa emerytalna pozwalająca wybrać trzy lata z rzędu z ostatnich 12 lat poprawiła mi podstawę, że współczynnik ten zwiększył się na 1,43, bo był to okres jeszcze czasów <sup>e</sup>gierkowskich, gdy zarobki niektórych głównych specjalistów w GUGiK nie były tak niskie, jak w 1987 r. Jeszcze przed odejściem na emeryturę w ramach 35 lat Koła Zakładowego SGP przy GUGiK wręczono mi srebrny medal za zasługi dla obronności kraju /fot.231/.

Do Stowarzyszenia Geodetów Polskich przy NOT zapisałem się w 1952 r, w którym :

- 7 lat od 1963 do 1969 byłem grupowym Koła SGP przy GUGiK,
- 7 lat od 1970 do 1977 jako członek zarządu i skarbnik Koła SGP przy GUGiK,
- 12 lat od 1977 do 1989 jako członek Głównej Komisji Rewizyjnej, z czego 6 lat jako wiceprzewodniczący tej Komisji.

Podobało mi się sprawozdanie z działalności SGP za kadencję

1980/1983 na XXVIII Zjazd Delegatów w Krakowie w dniach 13-14 maja 1983 r, w którym na str 11. stwierdzono, że "w okresie tym Zarząd Główny prowadził współpracę z Sekcją Pracowników Geodezji NSZZ Solidarność szczególnie w zakresie opracowywania projektów nowej organizacji służby geodezyjnej".SGP zawsze było zdania o potrzebie istnienia Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii.Na XXIX Zjeździe w Olsztynie /fot.232/, który odbył się w maju 1986 r była rozważana sprawa, aby GUGiK podlegał Ministerstwu Rolnictwa.Szkoda, że tak się nie stało, bo geodeta w resorcie rolnictwa większą odgrywa rolę niż w Ministerstwie Budownictwa i nie jest wykluczone, że byłby nadal Głównym Urzędem przy Ministrze Rolnictwa, a nie Departamentem Geodezji i Gospodarki Gruntami w Ministerstwie Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa.

Najmilszą niespodzianką w mojej pracy w Głównym Urzędzie Geodezji i Kartografii było jubileuszowe zebranie koła PTTK przy GUGiK i IGiK na którym to po raz pierwszy przypomniano, że wśród nas są również kombatanci.Każdy kombatant dostał bukietek biało-czerwonych goździków /fot.233/.

Podróży służbowych do służb geodezyjnych krajów socjalistycznych odbyłem w sumie około dziesięciu.Dotyczyły one tematów sieci grawimetrycznych, sieci osnowy poziomej, sieci osnowy wysokościowej, obserwacji sztucznych satelitów Ziemi i informatyki, w Moskwie /fot.234/ Budapeszcie i Pradze byłem od dwóch do czterech razy, w Berlinie jeden raz i w Bukareszcie jeden raz.Trzeba przyznać, że współpraca układała się dobrze i nie było żadnych zadrażnień.Ponieważ Niemcy zorientowali się, że obrady w dwóch językach bardzo się wydłużają, zrezygnowali z języka niemieckiego i zabierali ze sobą tłumaczkę znającą język rosyjski.Decyzja ta znacznie skróciła czas naszych narad roboczych i więcej spraw dało się omówić i uzgodnić.

Trzeba przyznać, że w okresie 1980-1981 w stosunku do polskiej delegacji nie było żadnych aluzji ani krytyki do naszego ruchu Solidarności, geodeci tych krajów nie czynili i nie stawiali nas w trudnej sytuacji.

Gospodarze wykazywali w stosunku do wszystkich gości uprzejmość i dobrą organizację narad, starali się urozmaicać wolny czas wyjazdami związanymi z produkcją np. wina i piwa, pokazywali nam folklorystyczne występy swoich zespołów oraz zapraszali na kolacje koleżeńskie.

W pierwszych latach kraj nasz podobnie przyjmował gości z sąsiednich krajów. W ostatnich natomiast latach my sami tylko wyjeżdżaliśmy, a ich nie zapraszaliśmy z uwagi na duży kryzys gospodarczy w naszym kraju.

#### Spotkania środowiskowe

Przyjemne dla nas, starszego pokolenia, są spotkania środowiskowe. Uczestniczę w spotkaniach dwóch środowisk z Wilna :

A/ - corocznej mszy św. w kościele św. Anny w każdą третią niedzielę sierpnia o godz. 10 w intencji poległych i zmarłych żołnierzy 6 Samodzielnej Wileńskiej Brygady Partyzanckiej AK oraz spotkaniu koleżeńskim po tej mszy św.,

- cokuwartalnym zebraniu koleżeńskim tej brygady w środowisku zamieszkałym w Warszawie,

- opłatku wigilijnym kolegów tej brygady środowiska warszawskiego

B/ - corocznej mszy św. w kościele Najświętszej Marii Panny Jezuitów /obok katedry/ w każdą третią niedzielę października o godz. 11 w intencji poległych i zmarłych nauczycieli i uczniów Liceum, Gimnazjum i Szkoły Powszechnej OO Jezuitów w Wilnie oraz spotkaniu koleżeńskim po tej mszy św. przy kościele OO Jezuitów na ul. Rakowieckiej,

- w mszach św. w intencji poległych i zmarłych nauczycieli i uczniów Liceum, Gimnazjum i Szkoły Powszechnej OO Jezuitów w Wilnie oraz spotkaniach koleżeńskich środowiska zamieszkałego w Warszawie po tych mszach św. odprawianych w pierwszą niedzielę po Nowym Roku i w pierwszą niedzielę po Wielkanocy o godz 13 w kościele OO Jezuitów na ul. Rakowieckiej.

Na mszy św. w kościele św. Anny i spotkaniu koleżeńskim pierwszy raz po wojnie spotkałem się z naszym dowódcą kpt. "Tońką" /Adamem Boryczką/, który z trudem uratował życie, gdyż był przez władze PRL skazany na karę śmierci i dopiero po długoletnim pobycie w więzieniu i amnestii wypuszczony na wolność.

Był on również inicjatorem ufundowania i poświęcenia sztandaru Okręgu AK Wilno w listopadzie 1987 r w kościele św. Jacka /fot. 235<sup>1236</sup>/.

Na dwa tygodnie przed jego śmiercią po uroczystej mszy św. w Kościele św. Boromeusza, gdzie byłem z "Mietkiem" /Mieczysławem Pietraszunem/ w poczcie sztandarowym, odwieźliśmy sztandar do jego mieszkania. Skromność i jego żołnierskie życzenie, żeby pochować go na dnie czteroosobowego grobu, by mogli być w przyszłości pochowani nad nim jego podwładni, świadczy o jego charakterze i dobroci. W dwa tygodnie później na pogrzebie "Tońki" niosłem jego odznaczenia, w tym najważniejsze Krzyż Virtuti Militari /fot. <sup>237</sup>~~534~~/.

Nasuwa się smutna refleksja, że najbardziej wartościowi ludzie odchodzą już na zawsze z naszego grona, a na ich miejsce, jak mało jest młodzieży, która stara się ich naśladować.

7 lipca 1990 r Oddział Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w jednym z kościołów Bielsko-Białej ufundował tablicę poświęconą poległym żołnierzom 6 Wileńskiej Samodzielnej Brygady Partyzanckiej AK. Otwarcia tablicy dokonała Olga Krzyżanowska, córka ś.p. Aleksandra Krzyżanowskiego /gen. "Wilka"/ komendanta Okręgu Wileńsko-Nowogrodzkiego pochowanego na Powązkach Wojskowych /fot. <sup>53</sup>~~237~~/.

Otwarcie tablicy i spotkanie koleżeńskie w Bielsku-Białej są przedstawione na fot. 238 i 239.

W 1992 r wziąłem częściowy udział w Światowym Zjeździe Kombatantów Polskich, biorąc udział w polcowej mszy św. 15 sierpnia na placu Józefa Piłsudskiego oraz w przemarszu kombatantów według formacji wojskowych z 6-tą Wileńską Samodzielną Brygadą Partyzancką AK, a nazajutrz w mszy św. w kościele św. Anny o godz. 10 i spotkaniu koleżeńskim naszej brygady /fot. 240/.

Pragnę podkreślić, że na wszystkich spotkaniach kombatanckich i jezuickich panuje bardzo serdeczna atmosfera. Wszyscy zwracamy się do siebie po imieniu bez względu na wiek, stopień czy stanowisko, które czasem jest bardzo wysokie. W dniu 2 lipca 1992 r. uczestniczyłem w konferencji nt. "Okręgu Wileńskiego w walce z okupantami w latach 1939-1945", którą w sposób godny pochwały zorganizował Okręg Wileński Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w luksusowym centrum konferencyjnym MON w Warszawie przy ul. Żwirki i Wigury w którym chyba pierwszy raz po wojnie żołnierze Żandarmerii Wojskowej oddawali honory wszystkim uczestnikom konferencji - byłym żołnierzom AK.

C/ Również, z wyjątkiem wakacji, raz na miesiąc spotykam się w sali NOT z seniorami Stowarzyszenia Geodetów Polskich na herbatce. Kilkakrotnie na tych spotkaniach puszczałem na ekran slajdy z wycieczek zagranicznych.

Raz lub dwa razy rocznie organizowane są wycieczki po ciekawszych miejscach w kraju.

Byłem dotychczas na dwóch takich wycieczkach, na których zwiedziliśmy Puławy, Kazimierz Dolny i Nałęczów oraz okolice Rawy Mazowieckiej i Mszczonowa.

Przed Bożym Narodzeniem urządzone są spotkania przy opłatku.

#### Posłowie

Wspomnienia moje w największej swej części poświęcone zostały latom dziecięcym i młodzieńczym, okresowi II wojny światowej i mojej pracy zawodowej po wojnie.

Dumny jestem z tego, że nie zapisywałem się i nie należałem do żadnej komunistycznej organizacji młodzieżowej i partii politycznej.

Okres powojenny pod względem prześladowań za poglądy był bardzo ponury. Ja aż do 1989 r. ukrywałem swoją przynależność do ZWZ i AK, dzięki czemu mogłem bez trudności dostać się na studia, otrzymać

miejsce w domu akademickim, uzyskać stypendium, dostać pracę w geodezji nawet przy pracach tajnych oraz pracować w centralnych władzach administracji geodezyjnej, jakim był Główny Urząd Geodezji i Kartografii. Korzystne było dla mnie to, że po przejściu praktyki zawodowej w bezpośredniej produkcji w Państwowym Przedsiębiorstwie Geodezyjnym poszedłem do pracy w Biurze Techniki GUGiK, gdzie nie polityka odgrywała naczelną rolę, a sprawy techniczne. Dzięki temu praca ta dawała zadowolenie, gdyż w jej wyniku powstawały dobre owoce dla kraju bez względu na to, pod jakim ustrojem nasz kraj się znajdował.

W dziedzinie tej wniosłem znaczący swój wkład w zakresie zakładania i modernizacji podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej kraju oraz podstawowej wysokościowej osnowy geodezyjnej w kraju. Rezultaty tych prac opublikowałem i zostały one ujęte w raporcie narodowym na Zgromadzenie Asocjacji Geodezji /IAG/ z lat 1983-1986 /zał.37/. Dlatego też do munduru, w którym wziąłem udział w pierwszym po wojnie przemarszu i defiladzie AK w dniu Święta Wojska 15 sierpnia 1992 r., były przyczepione baretki zawierające również odznaczenia przyznane mi przez władze PRL jak : Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Medal Zwycięstwa i Wolności, Medal Srebrny i Brązowy za Zasługi dla Obronności Kraju oraz Odznaka Grunwaldzka obok wiszących, a przyznanych mi przez Rząd Londyński Krzyża Armii Krajowej i Medalu Wojska z tak pięknymi trzema słowami "Polska swojemu Obroncy", gdyż uważam, że na nie zasłużyłem pracując dla dobra kraju, nawet gdy nie miał on wtedy wolności.

Z przykrością natomiast spostrzegam, jak nasze społeczeństwo, zwłaszcza młode, zdemoralizowało się od 1939 r., a w szczególności :

- kto w naszym kraju pracuje uczciwie netto 8 godzin, jak na zachodzie i częściowo w dawnym ZSRR /4 godziny pracy, przerwa obiadowa i 4 znowu godziny pracy netto/,
- kto w naszym kraju załatwia szereg spraw urzędowych dla siebie w czasie przerwy obiadowej,
- dlaczego rodzice lub dziadkowie noszą tornistry dzieciom, by od



dzieciństwa uczyć ich niespełniania swoich obowiązków,  
- ile młodych ludzi z reguły nie ustępuje miejsc siedzącym ludziom starszym lub schorowanym w środkach komunikacyjnych.

Japończycy doszli do potęgi światowej dzięki wytrwałej i uczciwej pracy milionów swych obywateli. U nas panuje cwaniactwo, oszustwo, lenistwo, gadulstwo oraz rozrzutność państwowymi pieniędzmi.

Jak u nas traktowało się i ~~stos~~uje nadal zasadę, że ~~praca~~ inteligenta jest gorzej płatna od pracy niewykwalifikowanego robotnika fizycznego. Jak nasz Sejm potraktował służbę zdrowia, najgorzej opłacanym pracownikom, odbierając im jeden i tak krótko stosowany przywilej bezpłatności leków. Dopóki lekarz będzie zarabiał mniej niż dozorca, a inżynier mniej od robotnika, dopóki dzieci i młodzież nie nauczymy od samego początku wypełniania swoich obowiązków, nie mamy czego oczekiwać, że zmieni się na lepsze. Dopóki w Sejmie, w rządzie czy w gabinecie Prezydenta ważniejsze będą dyskusje, kto więcej pieniędzy potrafi wyciągnąć od państwa, a nie przyjmujemy obowiązkowych godzin pracy netto, nie ~~por~~awimy sytuacji w kraju.

Należy wreszcie znieść przywileje resortowe, a wprowadzić jedynie przywileje i duże zarobki dla ludzi, którzy narażają swoje życie lub zdrowie np. przywilejami tymi powinni być objęci górnicy pracujący na dole, policjanci kryminalni ścigający przestępców, marynarze, piloci, ale nie panienki i inni urzędnicy, którzy obliczają płace dla wyżej wymienionych.

Jeśli chodzi o dzieci i młodzież, całą nadzieję pokładam w wychowaniu chrześcijańskim i w harcerstwie, które nareszcie przestaje być czerwone. W tej młodzieży widzę przyszłość dla gospodarki narodowej i w obronie naszego kraju, który byłby zagrożony tak, jak myśmy byli zagrożeni i osamotnieni w 1939 roku. Tym akcentem kończę niniejsze opracowanie, które starałem się zrealizować w sierpniu i wrześniu, w tak pamiętnych dwóch miesiącach - rocznicy Powstania Warszawskiego w którym zginął mój stryjeczny brat Jerzy Alexandrowicz.

Co do mnie, to szczęśliwie doczekałem się wolnej Polski, o którą w lesie modliliśmy się w pieśni "O Panie któryś jest na niebie...", dzięki czemu pieśń tę mogłem śpiewać na szeregu uroczystościach wojskowych i religijnych w ostatnich latach. Najbardziej uroczyste było obchodzone 50-lecie Narodowych Sił Zbrojnych, w czasie którego jako sympatyk NSZ wziąłem udział dnia 24 października 1992 r. we mszy św. w katedrze polowej WP celebrowanej przez gen. bryg. biskupa Głódzia. Przy słowach "do wolnej Polski racz nam wrócić daj" polały się mnie łzy z oczu, co spostrzegł operator filmowy i uwidoczniał to na kasecie video z tych uroczystości.

Na wniosek Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego zostałem awansowany na stopień sierżanta, co zostało udokumentowane wpisem do nowej książeczki wojskowej Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polski.

Warszawa, 29 września 1992 r.



Uwaga :

Poprawki i drobne uzupełnienia wniosłem w styczniu i lutym 1993 r.

Spis treści

Lata dziecięce	str. 1
<i>Dalsze lata dziecięce i szkoły powszechnej</i>	<i>str. 3</i>
Lata młodzieńcze i okres II wojny światowej	str. 11
Lata powojenne /w tym studenckie/ do 1951 roku	str. 41
Wyjazdy na narty	str. 45
<u>Kontakty i wydarzenia rodzinne</u>	str. 47
Podróże oraz wycieczki krajowe i zagraniczne	str. 59
Praca zawodowa małżonki	str. 64
Moja praca zawodowa	str. 68
Spotkania środowiskowe	str. 88
Posłowie	str. 90
Spis fotografii /240 sztuk/	
Spis innych załączników /40 sztuk/	



Alexander

W tekście należy wnieść następujące poprawki:

W tytule okładki - pod słowem WSPOMNIENIA  
dopisać WILNIANINA

Wspis treści

przy spis fotografii dopisać str. 91

przy spis innych zaś -1 str. 110

str 35 w ~~próbie~~ <sup>drugim</sup> wierszu ~~zakończony~~ <sup>odbył ukończeniu zdania w nawiasie</sup> dopisać fot. 64  
w drugim wierszu od dołu skrócić (fot. 64)

str 44 w wierszu pierwszym od dołu skrócić w nawiasie liter 8

str 46 w pierwszym wierszu od dołu dopisać na końcu (zaś. 18/)

str 55 w wierszu 13 i 14 od góry skorygować tekst na:

zupę mię jadalną, zatkniętą z drogi powracając kafe obiadową

z 19. XII. 1957 r. (zaś. 21) oraz dwie kafe kolejno (zaś. 22 i 23)

z 19 i 21. XII. 1957 r. Przed wejściem na statek moim

str 60 w wierszu drugim ~~trzecim~~ od góry w nawiasie po 170 dać 171,  
a w wierszu trzecim skrócić z nawiasem (fot. 171)

~~str 62 w wierszu drugim od góry w nawiasie skorygować na~~

str 69 w wierszu drugim od góry skorygować na fot. na 217

str 83 w wierszu pierwszym od dołu w nawiasie skorygować na zaś na 34

str 84 w wierszu pierwszym od góry w nawiasie skorygować na zaś na 24

str 107 - nowa (zmieniona + i skorygowana numerem fotografii) ✓

- str 20 w miejscu 12 od góry wpisać „kwaś” skorygować na „browi”  
str 46 w miejscu 9 od góry poprawić w nazwie miasta Jeleniej góry (dawniej Jeleni)  
str 47 w miejscu 4 od góry skrócić wpis na „z fioletu brzozy”  
str 54 w miejscu 5 od dołu poprawić wpis na „BTAccuic”

1) str 46 mi zeslata wzmieniona (a do dem nowy)  
tuba sa na ~~nowo odd~~ wdrozyc i na nowo  
zrobic 2x ksero (dla miic)

2) opis, tcd i jak wyzej

3) brak str 93

Są to wspomnienia najmłodszego dziecka w sześciuosobowej rodzinie zamieszkałej na stałe w Wilnie, wzbogacone licznymi fotografiami, kopiami dokumentów i listami z okresu wojennego i powojennego.

Szczęśliwy los sprawił, że wszyscy z tej rodziny przeżyli wojnę a rodzice, chociaż już nie w jednym kraju, zmarli śmiercią naturalną.

Wojna spowodowała, że rodzina została rozdzielona i tylko matka do końca życia została na miejscu t.j. w Wilnie, a jej najmłodszy syn, jako Polak z wyższym wykształceniem, zamieszkał w Warszawie. Pozostała część rodziny wyemigrowała do Wielkiej Brytanii, USA i Australii.

Duże odległości i inne względy były przyczyną, że więź rodzinna autora wspomnień z rodzeństwem urywała się.

Udział autora wspomnień w ZWZ i AK nie zakończył się spełnieniem pragnień, że ziemie wileńskie pozostaną przy Polsce.

Dożył jednak tej wzruszającej chwili, że jako żołnierz ubrany w polski mundur z przedwojennymi używanymi przez żołnierzy szarymi guzikami z orłem z koroną i opaską biało-czerwoną z napisem AK WILNO uczestniczył we Mszy Sw. polowej i defiladzie w Dniu Święta Wojska 15 sierpnia 1992 roku na placu im. Marszałka Józefa Piłsudskiego i z satysfakcją pokazywał tym, którzy o tym nie wiedzą, napisy na jednej z kolumn Grobu Nieznanego Żołnierza

WILNO

SURKONTY

7 - 13 lipca

21 sierpnia

1944

1944

które związane są z działalnością żołnierzy Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego Armii Krajowej.



Spis fotografii

1. Wilno. Widok ogólny bloków spółdzielczych, zbudowanych w latach 1930-31 w trójkącie ulic Kościuszki, Holendernia i Przejazd, widziany z góry od Szkoły Technicznej przy ul. Holendernia. Pierwszy blok z lewej zawierał tylko dwa segmenty, z których w jednym mieszkała rodzina państwa Krukowskich, których nazwisko jest wymienione w tekście wspomnień.
2. Wilno. Blok przy ul. Kościuszki widziany w 1931 r od strony podwórza. Patrząc od strony prawej w kierunku lewej mamy 6 segmentów z numerami mieszkań 15, 17, 19, 21, 23 i 25 ul. Kościuszki. Pod nr 21 mieszkała rodzina autora.
3. Wilno. Blok przy ul. Kościuszki sfotografowany przez autora w 1989 r.
4. Wilno. Fragment bloku przy ul. Kościuszki sfotografowany przez autora w 1989 r od strony podwórza z uwidocznionym przerobionym segmentem, gdzie przedtem do 1974 r mieszkała matka autora.
5. Wilno. Północna część bloku przy ul. Holendernia widziana od strony podwórza z placu zabaw i siatkówki.
6. Wilno. Południowa część bloku przy ul. Holendernia widziana od strony podwórza z ogródkami.
7. Wilno. Południowy koniec bloku przy ul. Holendernia i widok na kościół św. Piotra i Pawła. Na fotografii widać następujące osoby : z przodu Leon Alexandrowicz - autor wspomnień, z lewej jego przyjaciel Waldemar Rodzik w wieku szkolnym, osoby dorosłe od lewej : Germaine Alexandrowicz - siostra przyrodnia autora, ppłk Antoni Alexandrowicz - ojciec autora, pan Rodzik - ojciec Waldemara, właściciel segmentu przy ul. Kościuszki 15.
8. Wilno. Autor w latach 60-tych na tle bloku przy ul. Przejazd.
9. Wilno. Autor z psem, który go odprowadzał do szkoły i po lekcjach razem wracali do domu.
10. Wilno. W prywatnej szkole powszechnej polsko-francuskiej im. Elizy Orzeszkowej przy zaułku Ponomarskim. Autor stoi w środku w 3 rzędzie.

11. Wilno. Klasa II z dyrektorką w/w szkoły madame Szepowalnikową i wychowawcą klasy, autor siedzi drugi od lewej, natomiast trzeci od prawej siedzi Tadeusz Krukowski, o których wzmianki w tekście wspomnień.
12. Wilno. Gwiazdka w w/w szkole. Autor z głową skrzyżowaną stoi w środku na górze obok Tadeusza Krukowskiego.
13. Wilno. Autor pierwszy raz na nartach na tle ul. Przejazd.
14. Wilno. Klasa IV w/w szkoły w roku 1935/36. Lekcja muzyki. Przy nauczycielce / córki organisty / stoi wychowawca klasy. Autor stoi w trzecim rzędzie na górze w samym środku.
15. Wilno. Kościół św. Piotra i Pawła - perła miejscowego baroku z XVII w. zbudowany przez architekta J. Zaori i Frigidono, w którym jest ponad 2 tysiące rzeźb postaci ludzkich ujętych w scenach mitycznych i historycznych.
16. Wilno. Nowy most nad Wilją łączący Pióromont z Antokolem przed kościołem św. Piotra i Pawła.
17. Warszawa. Stryj autora płk dyplomowany Kazimierz Alexandrowicz jako dowódca pułku strzelców podhalańskich z odznaczeniami / na pierwszym miejscu Krzyż Virtuti Militari / stoi obok gen. dywizji Rydza Śmigłego wśród czterech innych oficerów.
18. Warszawa. Stryjenka autora Zofia Alexandrowicz z domu Koczarska, żona płk dypl. Kazimierza Alexandrowicza.
19. Wilno. Ojciec autora w stopniu majora WP.
20. Wilno. Ojciec autora w stopniu podpułkownika.
21. Wilno. Jedyna fotografia całej rodziny autora. Stoją od lewej : Henryk, Antoni Rajmund, matka, ojciec, Germaine, a przed nimi autor.
22. Warszawa. Jeden ze zjazdów prawdopodobnie V Dywizji Syberyjskiej.
23. Ciechocinek. Rodzina autora / z wyjątkiem Henryka / na wypoczynku.
24. Ciechocinek. Rodzina autora / z wyjątkiem Henryka / na spacerze.
25. Ciechocinek. Autor z rodzicami i bratem Antonim Rajmundem.
26. Dęblin. Brat przyrodni autora Henryk Alexandrowicz na drugim roku Szkoły Podchorążych Lotnictwa.

27. Dęblin. Henryk Alexandrowicz dekorowany złotym medalem z lekkoatletyki w Szkole Podchorążych Lotnictwa. |
28. Wilno. Siostra przyrodnia autora Germaine Alexandrowicz.
29. Wilno. Rodzony brat autora Rajmund Alexandrowicz /fotografia z pieczęcią konsulatu w Kownie/.
30. Wilno. Pierwsza Komunia Święta klasy Szkoły Polsko-Francuskiej przed kościołem OO. Bernardynów. Autor stoi w drugim rzędzie z samego brzegu obok nauczycielki. W środku ksiądz Lachowicz, obok dyrektorka Szepowalnikowa i Halina Poniatowska, w pierwszym rzędzie od lewej : Eugeniusz Małecki, NN, Jerzy Michałowski i Zdzisław Bartoszek. W tylnym rzędzie klasa starsza.
31. Wilno. Prywatna szkoła powszechna polsko-francuska im. Elizy Orzeszkowej przed grobem Matki i Serca Syna tj. marszałka Józefa Piłsudskiego na cmentarzu Rossa. Dyrektorka szkoły w kapeluszu w trzecim rzędzie z prawej strony fotografii na samym brzegu, a autor stoi na baczność z lewej strony fotografii.
32. Wilno. Autor jako uczeń szkoły powszechnej.
33. Wilno. Autor jako uczeń I klasy Gimnazjum OO. Jezuitów w mundurku szkolnym w roku 1938/39.
34. Wilno. Matka autora Maria Alexandrowicz z domu Junit.
35. Wilno. Rodzice autora Antoni i Maria Alexandrowiczowie.
36. Wilno. Na tarasie domu stoją od lewej : brat stryjeczny autora Jerzy Alexandrowicz, stryjenka Zofia Alexandrowicz, ojciec Antoni Alexandrowicz, autor i matka Maria Alexandrowicz.
37. Wilno. Na tarasie stoją : ojciec, autor, matka, stryjenka oraz brat Antoni Rajmund Alexandrowicz.
38. Rojstele pod Wilnem. Dom letniskowy rodziny autora.
39. Wilno. Rok szkolny 1939/1940 już bez mundurków klasa II-a Gimnazjum OO. Jezuitów. W środku ksiądz Wacław Sęk - nauczyciel religii. Autor stoi w środku w ostatnim rzędzie na górze i na jego ramieniu spoczywa lewa ręka kolegi Czesława Staszkiwicza.

40. Wilno. Matka autora na tarasie, na którym autor któregoś dnia września 1939 r widział eskadrę samolotów, które okazało się, że były stukasami i zrzuciły w pobliżu bomby.
41. Wilno. Matka autora razem z pieskiem przed drewnianym ganeczkiem do drzwi kuchennych domu. Na podobny ganeczek we wrześniu 1939 r spadła 50 kg bomba ze stukasa i rozwaliła ten ganeczek, a było to w domu państwa Cywińskich w bloku na ul. Holendernia.
42. Bliski Wschód. Ojciec autora w armii gen. Andersa 6 luty 1944 r w Tel-Awivie.
43. Bliski Wschód. Ojciec autora stoi na przodzie pomiędzy kobietą a mężczyzną z armii gen. Andersa.
44. Bliski Wschód. Ojciec autora stoi na przodzie pośrodku grupy.
45. Wilno. Koledzy szkolni<sup>autora</sup>, a potem tajnych kompletów nauczania, w latach okupacji.
46. Niemcy. Przyrodni brat autora Henryk Alexandrowicz porucznik lotnik obserwator z kolegą w niewoli niemieckiej.
47. Wilno. Suszarnia w fabryce drewniaków Brewińskiego 1943/44 r.
48. Wilno. Fabryka drewniaków Brewińskiego - najmłodsi pracownicy.
49. Kapitan, a następnie major kawalerii Franciszek Koprowski "Dąb", "Konar" cichociemny, od marca do 17 lipca 1944 r dowódca 6-ej Wileńskiej Samodzielnej Brygady Partyzanckiej AK.
50. Wileńszczyzna. Luty 1944 r. Pierwszy pluton 6-ej Wileńskiej Samodzielnej Brygady Partyzanckiej AK w marszu na ćwiczenia.
51. Wileńszczyzna. 3 maja 1944 r. Targiele. Oddział trzeciej Brygady "Szczerbca" szykuje się do defilady.
52. Wileńszczyzna, Dziewieniszki. Czerwiec 1944 r. Komendant Okręgu AK Wilno Aleksander Krzyżanowski /"Wilk"/ przyjmuje raport dowódcy patrolu. Za "Wilkiem" od lewej stoją : ppłk Adam Szydłowski /"Poleszuk"/, ppłk Janusz szlaski /"Prawdzic"/ i kpt Stanisław Szabunia /"Licho"/.

53. Warszawa. Cmentarz na Powązkach Wojskowych. Grób komendanta Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego AK gen. bryg. Aleksandra Krzyżanowskiego /"Wilka"/.
54. Warszawa. Powązki Wojskowe. Szarfy na grobie komendanta Okręgu AK w 41 rocznicę Powstania Wileńskiego.
55. Wileńszczyzna. 6-ta Wileńska Samodzielna Brygada Partyzancka AK w marszu. Na głównym planie : Wiktor Strzałkowski /"Fok"/ i Oskar Hansen /"Kolka"/.
56. Wileńszczyzna. Władysław Maleszewski /"Żubr"/ i Wiktor Strzałkowski /"Fok"/ - partyzanci pierwszej drużyny 1-ej kompanii 6-ej Brygady.
57. Wileńszczyzna. Początek lata 1944 r. Kolumna 6-ej Wileńskiej Samodzielnej Brygady Partyzanckiej AK w marszu. Straż tylna.
58. Wileńszczyzna. Lato 1944 r. 6-ta Wileńska Brygada Partyzancka AK ewentualnie jej część jako oddział "Solcza" po wyjściu z okrążenia sowieckiego - w marszu. Trzeci z przodu za Hansenem /"Kolka"/ Tadeusz Rogoziński /"Lech"/.
59. Wileńszczyzna. Msza św. połowa 1-ej Wileńskiej Brygady AK. Siedzą z lewej w pierwszym rzędzie : por. Czesław Grombaczewski /"Jurand"/ dowódca Brygady i jego zastępca ppor. Roman Korab-Żebryk /"Korab"/.
60. Wilno. Lipiec 1944 r. Wspólny polsko-sowiecki patrol w akcji na ul. Wielkiej.
61. Wilno. Lipiec 1944 r. Ulica Kalwaryjska. Kompania Szturmowa 1-ej Brygady dowodzona przez por. Romana Korab-Żebryka w końcowej fazie walki o miasto.
62. Wilno. 15 lipca 1944 r. Ulica Mostowa 5. Ułani 1-ego plutonu Oddziału Dyspozycyjnego Komendy Okręgu - osobista ochrona "Wilka".
63. Wilno. Ulica Kościuszki 14/16. Była kwatera gen. Iwana Czerniachowskiego, gdzie podstępnie aresztowano "Wilka".
64. Puszcza Rudnicka. 18 lipca 1944 r. Odprawa 6-ej Brygady prowadzona przez por. "Tonkę".

65. Puszcza Rudnicka. Major Czesław Dębicki /"Jarema"/ wśród żołnierzy w czasie marszu przez Puszcze Rudnicką /lipiec 1944 r/.
66. Puszcza Ruska. Odpoczynek po makabrycznym marszu do Puszczy Ruskiej. "Jarema" stoi oparty o drzewo, za nim "Jeż" /lipiec 1944 r/.
67. Wileńszczyzna- Nowogródzczyzna. Adam Boryczka w środku z płaszczem wojskowym przewieszonym przez rękę prowadzi oddział "Solcza" w kierunku Puszczy Ruskiej.
68. Wileńszczyzna-Nowogródzczyzna. Partyzanci oddziału "Solcza" w marszu z Puszczy Ruskiej. Od prawej : Henryk Kowalun /"Kuba"/, NN /"Szpak"/, Jerzy Baranowski /"Jur"/, Władysław Maleszewski /"Żubr"/ i Zbigniew Maleszewski /"Zbych"/.
69. Wilno. Dom państwa Filipskich przy lesie na ul. Borowej.
70. Bydgoszcz. Autor w Szkole Podoficerów Sanitarnych w listopadzie 1945 r.
71. Bydgoszcz. Autor z kolegami w koszarach Szkoły Podoficerów Sanitarnych w listopadzie 1945 r.
72. Warszawa. 1947 r. Ćwiczenia polowe z geodezji na I roku studiów. Pod parasolem Czesława Turowska.
73. Warszawa. 1947 r. Ćwiczenia polowe z geodezji. na I roku studiów. Czesława Turowska trzyma w ręku łatę tachimetryczną.
74. Warszawa. 1947 r. Ćwiczenia polowe z geodezji na I roku studiów. Parasol mierniczy trzyma Stanisław Klanowski, a przy kierownicy na stoliku mierniczym Czesława Turowska.
75. Warszawa. 1948 r. Na terenie Politechniki Warszawskiej. Przy słupie obserwacji astronomicznej stoją : Jan Kula, Klemens Tarnowski i koleżanka, w pozycji siedzącej Jan Kobylański, który wkrótce będzie więziony przez kilka lat za przynależność do AK.
76. Warszawa. 1948 r. Przy słupie obserwacyjnym na Politechnice Warszawskiej stoją od lewej : autor, tyłem asystent doc. Wincenty Szpunar, Klemens Tarnowski, Jan Kula, Jan Kobylański i Stefan Wojtulewicz.

77. Warszawa. 1948 r. Przy słupie obserwacyjnym na Politechnice Warszawskiej. Stoją od lewej : autor, Zdzisław Bielaniewicz, koleżanka, kolega, Antoni Soszynski, przy lunecie Klemens Tarnowski, Bronisław Bucewicz i w kapeluszu prof. dr hab. Feliks Kępiński.
78. Warszawa. 1948 r. Przy słupie obserwacyjnym na Politechnice Warszawskiej. Stoją od lewej : autor, Janusz Tkaczyk, Klemens Tarnowski, Zbigniew Zieliński, koleżanka, prof. Feliks Kępiński, Jan Kobyłański, Bronisław Bucewicz, doc. Wincenty Szpunar, NN, NN, Dariusz Rybczyński, Zbigniew Zapiek i kol. Krasucki.
79. Warszawa. 1948 r. Ćwiczenia polowe z geodezji na II roku studiów. Stoją od lewej : Genowefa Pierścionek, którą z tyłu za rękę znajoma Jadwiga Nowak trzyma, asystent mgr inż. Jan Rzędowski oraz znajoma /a dwa lata później żona/ autora Teresa Barbara Jeż.
80. Warszawa. 1948 r. Ćwiczenia polowe z geodezji na II roku studiów. Sprawdzanie wyników pomiaru. Od lewej siedzą : Genowefa Pierścionek, Czesława Turowska, Czesław Szełąg i Stefan Zykubek.
81. Warszawa. 1948 r. Ćwiczenia polowe z geodezji na II roku studiów - w czasie przerwy i wizyty koleżanek z innych uczelni. Siedzą od lewej : Genowefa Pierścionek, Czesław Szełąg, Czesława Turowska, Teresa Barbara Jeż, autor, Stanisław Klanowski i Jadwiga Nowak.
82. Warszawa. Trasa W-Z. 1949 r. Na dachu Pałacu pod Blachą obok stanowiska obserwacyjnego siedzą : autor i siostra Stanisława Klanowskiego.
83. Warszawa. Trasa W-Z. 1949 r. Autor przy obserwacjach kątowych odkształceń kościoła św. Anny na słupie dachu Pałacu pod Blachą.
84. Warszawa. Trasa W-Z. 1949 r. Stanisław Klanowski wykonuje obserwacje kątowe odkształceń kościoła św. Anny /widocznego na zdjęciu łącznie z dzwonnica/ na dachu Pałacu pod Blachą, a autor /w białej czapce/ protokółuje wyniki pomiarów.
85. Szklarska Poręba. 21 grudnia 1947 r. Autor /z numerem 1 włożonym na lewą stronę/ na starcie do biegu narciarskiego na dystansie 12 km.

86. Szklarska Poręba. 21 grudnia 1947 r. Autor z kolegą Klemensem Tarnowskim /z numerem 97/ po udanym biegu narciarskim.
87. Szklarska Poręba. 27 grudnia 1947 r. Przystojna koleżanka Alicja Świtalska odpoczywa w czasie spaceru na nartach.
88. Szklarska Poręba. 27 grudnia 1947 r. Kolega Czesław Szelaż u stóp przystojnej koleżanki.
89. Szklarska Poręba. 27 grudnia 1947 r. Autor w towarzystwie przystojnej koleżanki.
90. Szklarska Poręba, 27 grudnia 1947 r. Stoją na nartach od lewej : Czesław Szelaż, Alicja Świtalska, autor.
91. Szklarska Poręba. Boże Narodzenie. 1947 r. Stoją na nartach : autor, z siostrą przyrodnią Germaine Alexandrowicz.
92. Zakopane. Zima 1948/49. Stoją na nartach od lewej : autor, Klemens Tarnowski i Jan Starzeński.
93. Zakopane. Zima 1948/49. Stoją na nartach : z lewej Klemens Tarnowski, z prawej autor, a w środku nieznana para.
94. Bukowina Tatrzańska. 1955 r. Autor przy próbie robienia krystianii oporowej.
95. Niemcy. 1944 r. Brat autora Rajmund Alexandrowicz w Rzeszy Niemieckiej 15 marca 1944 r.
96. Niemcy. 1946 r. Brat autora Rajmund Alexandrowicz po wyzwoleniu.
97. Wilno. Cmentarz Wojskowy na Antokolu. Grób babki autora s.p. Anny Alexandrowiczowej zmarłej w 1924 r i matki s.p. Marii Alexandrowiczowej zmarłej w 1974 r.
98. Wilno. 1956 r. Matka autora Maria Alexandrowicz na schodach do ganeczku i drzwi kuchennych mieszkania spółdzielczego w Wilnie.
99. Wilno. 1956 r. Autor z matką na schodach do ganeczku i drzwi kuchennych mieszkania spółdzielczego w Wilnie.
100. Wilno. 1956 r. Autor z matką na tarasie domu.
101. Warszawa, sierpień 1956 r. Matka w gościnie u autora na tle Pałacu Nauki i Kultury.



102. Warszawa, sierpień 1956 r. Autor z matką na tle widoku Wisły i panoramy Starego Miasta.
103. Warszawa, sierpień 1956 r. Autor z matką na Pradze spoglądają na Wisłę i lewy brzeg Warszawy w tym na Pałac Nauki i Kultury.
104. Miedzeszyn, sierpień 1956 r. Matka autora ze swoją pasierbicą /siostrą przyrodnią autora/ Germaine Alexandrowicz.
105. Miedzeszyn, sierpień 1956 r. Matka autora ze swoją pasierbicą Germaine Alexandrowicz.
106. Miedzeszyn, sierpień 1956 r. Od lewej : matka autora z pasierbicą Germaine, młodszą krewną i dalszą stryjenką autora Różą Alexandrowicz
107. Wilno. 25 marca 1964 r. Imieniny matki autora. W pokoju matki od lewej : Danuta Błażyte, Mikolas Jackievičius, matka autora Maria Alexandrowicz, Ludvika Triponajte oraz tyłem zwrócona Helena Mejerewicz z bloku na ul. Holendernia.
108. Wilno. Lata pięćdziesiąte. Ludvika Triponajte - Litwinka, lokatorka i serdeczna przyjaciółka matki autora, spikerka radiowa w Wilnie.
109. Wilno. Lata sześćdziesiąte. Ludvika Triponajte - serdeczna przyjaciółka matki autora.
110. Wilno. Lata sześćdziesiąte. Autor z matką i jej przyjaciółką Ludwiką Triponajte na tle dzielnicy mieszkaniowej na Antokolu.
111. Wilno. Lata sześćdziesiąte. Matka autora z przyjaciółką Ludwiką Triponajte na tle katedry.
112. Rojstele. Przed domem letniskowym na początku lat sześćdziesiątych. Matka autora z przyjaciółką Ludwiką Triponajte i jej synem Evaldasem Zulonasem.
113. Wilno. Evaldas Zulonas na tarasie naszego domu.
114. Ryga. 1959 r. Matka autora ze swoim bratankiem i jego żoną.
115. Ryga. 1959 r. Autor z matką na tle wieży katedralnej.
116. Wieś na Łotwie. 1959 r. Matka autora w rozmowie z najstarszą siostrą Anną z domu Junit, zamieszkałą stale na Łotwie.
117. Wieś na Łotwie. 1959 r. Matka autora z siostrą Anną i młodszymi jej krewnymi.

118. Wies na Łotwie. 1959 r. Autor z matką.
119. Wies na Łotwie. 1959 r. Autor z matką i jej siostrą Anną i jedną z wnuczek.
120. Wies na Łotwie. 1959 r. Matka autora z siostrą Anną oraz wieloosobową jej rodziną.
121. Wilno. 1966 r. Starszy syn autora Krzysztof w ogródku babci wewnątrz podwórza bloku mieszkalnego.
122. Wilno. 1966. Krzysztof przed domem na ul. Kościuszki na tle kościoła św. Piotra i Pawła.
123. Wilno. 1966 r. Syn autora Krzysztof na Baszcie Gedymina na Górze Zamkowej.
124. Wilno. 1966 r. Syna autora Krzysztof na rufie statku pasażerskiego płynącego Wilją w górę rzeki.
125. Wilno. 1989 r. Żona autora Teresa Barbara Alexandrowicz na tle gotycko-barokowej katedry św. Stanisława, będącej zabytkiem klasycznym dzieła wybitnego architekta wileńskiego Wawrzyńca Gucewicza.
126. Wilno. 1989 r. Żona autora na tle katedry i dzwonnicy z XIII wieku.
127. Wilno. 1989 r. Żona autora na tle Góry Zamkowej z wieżą Gedymina.
128. Wilno. 1989 r. Żona autora na tle nowych budynków i wieży telewizyjnej
129. Wilno. 1989 r. Autor na tle pomnika Adama Mickiewicza przy kościele OO. Bernardynów. Pomnik ten zbudowali Litwini w latach 80-tych.
130. Bałtyk. Na okręcie M/S Batory, koniec listopada 1957 r. Autor z kolegą Ryszardem Kotowskim.
131. Kanał La Manche. Na okręcie M/S Batory, koniec listopada 1957 r. Autor z państwem Wandą i Romanem Ostrowskimi i ich córką Małgosią.
132. Kopenhaga. 1957 r. Autor na tle pomnika.
133. Kopenhaga. 1957 r. Autor na tle kościoła.
134. Kopenhaga. 1957 r. Autor na tle ulicy i kościoła.
135. Kopenhaga. 1957 r. Autor na tle nowoczesnego budynku.
136. Kopenhaga 1957 r. Autor na tle katedry.
137. Kopenhaga. 1957 r. Przed Pałacem Królewskim.

- 138.Kopenhaga.1957 r.Orkiestra Gwardii Królewskiej.
- 139.Kopenhaga.1957 r.Orkiestra i Gwardia Królewska przed Pałacem Królewskim.
- 140.Kopenhaga.1957 r.Autor na tle Pałacu i Gwardii Królewskiej.
- 141.Londyn.Grudzień 1957 r.Autor na Piccadilly Circus.
- 142.Londyn.Grudzień 1957 r.Autor w dzielnicy centralnej.
- 143.Londyn.Grudzień 1957 r.Autor na tle kolumny Nelsona.
- 144.Londyn.Grudzień 1957 r.Autor na tle pomnika.
- 145.Londyn.Grudzień 1957 r.Autor na tle innego pomnika.
- 146.Londyn.Grudzień 1957 r.Autor na moście nad Tamizą,z dala widać Tower Bridge - most zwodzony.
- 147.Nordholn pod Londynem.Grudzień 1957 r.Pani Ostrowska z córką Małgosią i szwagrem męża na tle Pomnika Poległym Lotnikom Polskim.
- 148.Londyn.Brat przyrodni autora Henryk Alexandrowicz jako kapitan lotnik obserwator w pełnym umundurowaniu.
- 149.Londyn.Brat przyrodni autora Henryk Alexandrowicz jako kapitan lotnik obserwator.
- 150.Warszawa.Lata 70-te.Przed budynkiem,w którym mieszka autor,stoją od lewej : młodszy syn autora Tomasz,brat cioteczny Andrzej Grochowski,żona autora Teresa,autor oraz Zofia Grochowska - żona Andrzeja.
- 151.Warszawa.Lata 70-te.Andrzej Grochowski z żoną Zofią i dwojgiem dzieci przed pomnikiem Szopena w Łazienkach Królewskich.
- 152.Londyn.Listopad 1989 r.Syn starszy autora Krzysztof u Zofii i Andrzeja Grochowskich.
- 153.Londyn.Listopad 1989 r.Starszy syn autora Krzysztof ze swoim wujem Andrzejem Grochowskim.
- 154.Egipt.Pod gajem palmowym siedzą : ojciec Antoni i brat przyrodni autora Henryk Alexandrowicz przy spotkaniu po wojnie.

155. Góry Stożowe. 1960 r. Autor na motocyklu WFM o poj. 125 cm<sup>3</sup>.
156. Góry Stożowe 1960 r. Autor motocyklem na szosie ze 100 zakrętami.
157. Góry Stożowe. 1960 r. Żona autora prowadzi motocykl.
158. Góry Stożowe. 1960 r. Autor prowadzi motocykl na szosie ze 100 zakrętami.
159. Wambierzyce. 1960 r. Autor z żoną i teściową Jadwigą Jeżową na tle katedry w Wambierzycach.
160. Wambierzyce. 1960 r. Autor z teściową i synem Krzysztofem przed katedrą.
161. Piotrków Trybunalski. Lata 50-te. Teść autora Stefan Jeż z wnukiem Krzysztofem.
162. Piotrków Trybunalski. Lata 50-te. Teściowie autora z wnukiem Krzysztofem.
163. Piotrków Trybunalski. Lata 50-te. Teściowa autora z wnukiem Krzysztofem.
164. Piotrków Trybunalski. Lata 50-te. Teściowa i żona autora z Krzysztofem.
165. Piotrków Trybunalski. Lata 50-te. W ogrodzie teściów. Teściowa autora, ciocia Helena Głowinkowska, Krzysztof i jego brat cioteczny Zdzisław Zamysłowski.
166. Piotrków Trybunalski. Lata 50-te. Ciocia żony autora Helena Głowinkowska w ogrodzie przy pieleniu chwastów.
167. Warszawa. Brat rodzony matki żony autora ksiądz prof. dr Stefan Biskupski.
168. Łódź. Młodsza siostra teściowej autora Leokadia Głowinkowska z domu Biskupska z mężem Czesławem Głowinkowskim.
169. Warszawa. 1967 r. Dwaj synowie autora. Krzysztof podtrzymuje swego brata Tomasza.
170. Zalesie Górne. 1968 r. Ciocia żony autora Helena Głowinkowska z psem Kajtusiem.

171. Zalesie Górne. 1968 r. Ciocia żony autora Helena Głowinkowska w ogródku.
172. Toruń. Autor z żoną pod pomnikiem Mikołaja Kopernika.
173. Toruń. Autor z synem Tomaszem na tle elewatora.
174. Toruń. Syn autora Tomasz na tle baszty.
175. Toruń. Żona autora z synem Tomaszem na tle budynku o ciekawej architekturze.
176. Puławy. Żona autora na tle Domku Greckiego.
177. Puławy. Żona autora na tle świątyni Sybilli.
178. Nałęczów. Żona autora na tle starego sanatorium.
179. Nałęczów. Stare sanatorium, a przy nim żona autora.
180. Kazimierz Dolny. Autor na rynku.
181. Kazimierz Dolny. Autor przy studni na rynku.
182. Kazimierz Dolny. Autor z psem na tle dawnej bożnicy.
183. Kazimierz Dolny. Żona autora na rynku.
184. Kazimierz Dolny. Żona autora na tle budynku o ciekawej architekturze.
185. Praha. Na campingu widoczny namiot i samochód. Przed namiotem siedzą : żona i syn autora Tomasz.
186. Praha. Syn autora Tomasz oparty o samochód na campingu.
187. Praha. W Ogrodzie Królewskim Zamku Praskiego.
188. Praha. Żona autora na ulicy Starego Miasta.
189. Praha. Żona autora na tle kościoła na Starym Mieście.
190. Praha. Autor z żoną na Hradczanach.
191. Praha. Żona autora z synem Tomaszem na Hradczanach.
192. Praha. Żona autora na Hradczanach.
193. Praha. Żona autora z synem Tomaszem przed budynkiem muzeum.
194. Praha. Żona autora z synem Tomaszem pod pomnikiem Kalwina.
195. Lwówek. Żona autora z synem Tomaszem przy rynku staromiejskim.
196. Lwówek. Syn autora Tomasz na tle baszty-bramy Bolesławickiej z XIII wieku.

197. Parking przy szosie między Rawą Mazowiecką a Tomaszowem Mazowieckim. Autor z żoną przy posiłku.
198. j.w. Autor z żoną.
199. j.w. Żona autora z siostrą cioteczną Wiesławą Szczepaniak.
200. j.w. Żona autora odpoczywa.
201. j.w. Autor z żoną odpoczywają.
202. j.w. Żona autora z siostrą cioteczną przy posiłku.
203. Osieck. Żona autora na działce przy samochodzie przed domkiem.
204. Osieck. Autor z psem przy samochodzie na działce na tle domku gospodarczego.
205. Osieck. Autor z psem przy domku na działce.
206. Osieck. Żona autora przed domkiem na działce.
207. Osieck. Żona autora odpoczywa przed domkiem na działce.
208. Osieck. Kapliczka na drzewie, żona autora przed domkiem na działce.
209. Osieck. Żona autora pompuje wodę ze studni.
210. Warszawa. Szkolny gabinet dentystyczny przy ul. Zakrzewskiej 24.  
Żona autora przy pracy z pomocą dentystyczną "Kizią" Wojciechowską.
211. j.w. Żona autora, "Kizia", jej córka na fotelu oraz drugi lekarz dentysta Maria Żakowska.
212. j.w. Żona autora, "Kizia" i jej córka na fotelu.
213. j.w. Żona autora przegląda zęby pacjentki.
214. Warszawa. Szpital przy ul. Stępińskiej. Zebranie lekarzy stomatologów z Mokotowa. W białych fartuchach od lewej siedzą : żona autora i lekarz dentysta Maria Żakowska.
215. Warszawa. Szkolny gabinet dentystyczny przy ul. Zakrzewskiej 24.  
14 listopada 1978 r. Żona autora przegląda zęby pacjentem  
Zdjęcie z profilu.
216. j.w. Zdjęcie żony z przodu.
217. Warszawa, ul. Elektoralna 2. Autor w pracy w Państwowym Przedsiębiorstwie Geodezyjnym.

218. Warszawa, ul. Jasna 2/4. GUGiK. Biuro Techniki. Wydział Pomiarów Podstawowych. Siedzą od lewej : mgr inż. Witold Kuckiewicz, naczelnik Wydziału mgr inż. Jakub Jamiołkowski i autor mgr inż. Leon Alexandrowicz.
219. j.w. W. Kuckiewicz, autor i J. Jamiołkowski.
220. Warszawa, ul. Sielecka 3 m 4. Obblewanie awansu autora. Od prawej : autor, jego żona i mgr inż. Witold Kuckiewicz.
221. Warszawa, ul. Jasna 2/4. GUGiK. Biuro Techniki. Wydział Pomiarów Podstawowych. Autor przy pracy.
222. j.w. mgr inż. Witold Kuckiewicz przy pracy.
223. j.w. starszy inspektor Aleksander Szwejkowski przy pracy.
224. j.w. specjalista inż. Zbigniew Wolanski przy pracy.
225. j.w. stoją od lewej : mgr inż. Witold Kuckiewicz, inż. Paweł Sudoł, inż. Stanisław Kostyra, siedzą : mgr inż. Dariusz Milewski i autor mgr inż. Leon Alexandrowicz.
226. Restauracja "Ambasador" w Alejach Ujazdowskich. Pożegnanie odchodzącego na emeryturę mgr inż. Witolda Kuckiewicza. Jubilat obok Barbary Chodzeń i inż. Barbary Drozdowicz-Chróścickiej.
227. j.w. od lewej siedzą : dyrektor Biura mgr inż. Józef Pawłowski, mgr inż. Alicja Madzińska, autor mgr inż. Leon Alexandrowicz, mgr inż. Roman Włodarczyk i inż. Krystyna Starczewska.
228. j.w. od lewej : mgr inż. Witold Frotasik, dyrektor mgr inż. Józef Pawłowski, mgr inż. Roman Włodarczyk, mgr inż. Alicja Madzińska i inż. Krystyna Starczewska.
229. Warszawa, ul. Jasna 2/4. GUGiK. Biuro Techniki. Stanowisko d/s Pomiarów Podstawowych. Siedzą od lewej : mgr inż. Ryszard Pażus, autor mgr inż. Leon Alexandrowicz i inż. Stanisław Kostyra.
230. Warszawa. ul. Jasna 2/4. GUGiK. Sala konferencyjna. Posiedzenie Rady Geodezyjnej i Kartograficznej. Od lewej. : dyrektor IGiK prof. dr hab. inż. Bogdan Ney, prof. dr hab. inż. Poczobutt-Odlanicki, prof. dr inż. Jan Różycki i płk dr inż. Zenon Biesaga.

231. Warszawa. ul. Jasna 2/4. GUGiK. Sala konferencyjna. 35-lecie Koła Zakładowego SGP przy GUGiK. Autor odznaczony Srebrnym Medalem za Zasługi dla Obronności Kraju.
232. Olsztyn. XXIX Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Geodetów Polskich. Maj 1986 r. Autor siedzi jako drugi z lewej strony obok prof. dr hab. inż. Włodzimierz Baran i prof. dr hab. inż. Czesław Kamela.
233. Warszawa, ul. Jasna 2/4. GUGiK. Sala konferencyjna. 35-lecie Koła PTTK przy GUGiK. Od lewej : doc. dr inż. Tadeusz Wyrzykowski, mgr informatyki Elżbieta Łojek, autor i inż. Tadeusz Dulski.
234. Moskwa. Narada robocza przedstawicieli służb geodezyjnych krajów socjalistycznych na temat zagadnień sieci astronomiczno-geodezyjnych, ich uzupełniających pomiarów i wyrownania. Delegacja polska - od lewej strony siedzą : mgr inż. Janina Deryło-Stępniak, prof. dr inż. Jerzy Bokun, autor mgr inż. Leon Alexandrowicz, prof. dr hab. inż. Julian Kadecki oraz mgr inż. Jerzy Gelo.
235. Warszawa. Kościół OO. Dominikanów św. Jacka. Listopad 1987 r. Fotografia Sztandaru Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego.
236. Warszawa. Cmentarz Powązkowski. Kwatera 4 grób nr 6 ś.p. kpt Adama Boryczki /"Brona", "Tońko"/ ostatniego dowódcy 6-ej Samodzielnej Wileńskiej Brygady Partyzanckiej AK, zmarłego 30 kwietnia 1988 r.
237. Warszawa. Cmentarz Wojskowy na Powązkach. Grób ś.p. gen. bryg. Aleksandra Krzyżanowskiego /"Wilka"/, komendanta Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego AK, zmarłego w więzieniu na ul. Rakowieckiej w 1951 r.
238. Bielsko-Biała. 7 lipca 1990 r. Olga Krzyżanowska, córka "Wilka", otwiera tablicę poświęconą 6-ej Samodzielnej Wileńskiej Brygadzie Partyzanckiej AK w jednym z kościołów w Bielsku-Białej. Obok łączniczka /prawdopodobnie Irena Baranowska "Basia"/.
239. Bielsko-Biała. 7 lipca 1990 r. Spotkanie koleżeńskie po poświęceniu tablicy. Obok Olgi Krzyżanowskiej siedzi Fabian Czyż /"Marian"/ - taśmowy w 2-ej drużynie plutonu ckm 6-ej Samodzielnej Wileńskiej Brygady Partyzanckiej AK.



240. Warszawa. Kościół św. Anny. 16 sierpnia 1992 r. W czasie mszy św. za poległych i zmarłych żołnierzy 6-ej Samodzielnej Wileńskiej Brygady Partyzanckiej AK. W pierwszym rzędzie od lewej stoją : "Lonek" - autor, a trzeci "Marian".

Spis załączników innych

1. Obszar Syberii Wschodniej z terenami badań Kazimierza Grochowskiego i granicą koncesji.
2. Plan domu /segmentu bloku/ przy ul. Kościuszki 17 w Wilnie w języku litewskim własności Marii Alexandrowicz, córki Andrzeja, sporządzony przez Wileńskie Biuro Inwentaryzacji Technicznej nr 3378, nr rej. 7766 z dnia 18 X 1963 r. /po zmianie numeracji domu przy ul. Kościuszki zamiast nr 21 nadano nr 17/.
3. Wspomnienia mego brata Rajmunda z okresu koniec czerwca- 1 listopada 1939 r.
4. Fragmenty wspomnień mego brata Rajmunda z działalności konspiracyjnej.
5. List mego brata Rajmunda z września 1992 r.
6. List <sup>autora</sup> z 25 III 1945 r. wysłany z koszar w Warszawie z okazji imienin matki.
7. List autora z 9 maja 1945 r. wysłany z Niemiec z karnej kompanii do matki, bez wyrażenia radości z końca wojny w Europie.
8. Charakterystyka służby autora w Szkole Podoficerów Sanitarnych w Bydgoszczy z dnia 5 lutego 1946 r.
9. Zaświadczenie z 19 lutego 1946 r., że autor jest słuchaczem kursu wstępnego Szkoły Inżynierskiej im. Wawelberga i Rotwanda w Warszawie.
10. Zaświadczenie z 12 września 1946 r., że autor ukończył kurs wstępny w Szkole Inżynierskiej im. Wawelberga i Rotwanda w Warszawie.
11. Legitymacja studencka z 3 X 1946 r. Wydziału Elektrycznego Szkoły Inżynierskiej im. Wawelberga i Rotwanda w Warszawie.
12. Legitymacja autora z Politechniki Warszawskiej.

13. Skrócony akt małżeństwa w Urzędzie Stanu Cywilnego Warszawa-Wola z 28 czerwca 1950 r.
14. Świadcstwo Ślubu w rzymsko-katolickiej parafii św. Krzyża w Warszawie odbytego 12 sierpnia 1950 r.
15. Dyplom małżonki autora Teresy Barbary Jeż Akademii Medycznej w Warszawie o otrzymaniu tytułu lekarza dentysty w dniu 22 lutym 1951 r.
16. Dyplom autora o uzyskaniu stopnia inżyniera geodety i magistra nauk technicznych po zdaniu egzaminu dyplomowego w dniu 19 marca 1951 r.
17. Legitymacja nr 491 autora do noszenia odznaki za sprawność narciarską kategorii seniorów stopnia brąz Polskiego Związku Narciarskiego.
18. Legitymacja autora nr 188/2K 55 górskiej odznaki narciarskiej PTTK w stopniu brązowym zdobyta w sezonie 1955 r.
19. Ogłoszenie w języku litewskim o sprzedaży nieruchomości przez autora w Vakarinės Naujienos z 15 maja 1975 r.
20. Ogłoszenie w języku rosyjskim o sprzedaży nieruchomości przez autora w Wieczornyje Nowosti z 21 maja 1975 r.
21. Karta obiadowa ze statku M/S "Batory" z dnia 19 XII 1957 r.
22. Karta kolacyjna ze statku M/S "Batory" z dnia 19 XII 1957 r.
23. Karta kolacyjna j.w. z dnia 21 XII 1957 r.
24. Pismo Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Państwowych RP z 20 kwietnia 1953 r. nadające autorowi tytuł "Przodującego w pracy".
25. Zaświadczenie GUGiK z 23 XII 1960 r. o rodzajach pracy wykonywanych przez autora w PPG i GUGiK.
26. Życzenia imieninowe z dnia 28 czerwca 1966 r. złożone autorowi w dniu jego imienin od pracowników Wydziału.
27. Notatka służbowa autora do prezesa GUGiK z 23 sierpnia 1977 r.
28. Szkic przedwojennej sieci triangulacyjnej I rzędu Polski.
29. Szkic sieci astronomiczno-geodezyjnej PRL SAG 1955 r.
30. Szkic sieci astronomiczno-geodezyjnej PRL SAG 1969 r.

31. Szkic zmodernizowanej podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej kraju, wyrównanej w 1981 r.
32. Nagroda prezesa GUGiK za wybitne osiągnięcia naukowe i techniczne w dziedzinie geodezji i kartografii w roku 1986 za wykonanie tematu "Wyrównanie podstawowej poziomej osnowy geodezyjnej Polski".
33. Pismo ZBOWiD do GUGiK z 30 XI 1976 z prośbą o przekazanie wyrazów uznania za aktywną postawę i ofiarną pracę społeczną autora.
34. Plik pism i skarg w związku z zaszeregowaniem autora i asygnaty na samochód małolitrażowy od 10 sierpnia 1978 r. do 16 września 1987 r.
35. Pismo prezesa GUGiK z 30 XII 1985 r o nadaniu autorowi Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, jako wyraz docenienia i uznania pracy autora przez kierownictwo GUGiK.
36. Legitymacja odznaczenia autora Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za szczególnie wyróżniającą pracę po przepracowaniu 30 lat w urzędach państwowych.
37. Szkic przedwojennej sieci niwelacyjnej Polski.
38. Szkic osnowy wysokościowej I klasy według koncepcji autora.
39. Wyróżnienie prezesa GUGiK za wybitne osiągnięcia naukowe i techniczne w dziedzinie geodezji i kartografii w roku 1986 za wykonanie tematu "Modernizacja podstawowej osnowy wysokościowej I klasy".
40. Fragment w języku angielskim polskiego Raportu na Zgromadzenie Asocjacji Geodezji /IAG/ z lat 1983 - 1986, w którym na str. I 6 w bibliografii znajdują się jedynie dwa artykuły autora zamieszczone w Przeglądzie Geodezyjnym.